

Wojciech
Inżynier
L. Borecki

RODZINA POLSKA

MIEŚCZNIK ILUSTROWANY



Syn słynnego lotnika Ch. Lindbergha. (Fot. nadana telegraficznie).

WARSZAWA

ROK VI

MAJ—1932

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW

Warszawa Krak. Przedm. 71.

Poleca następujące książki religijne, naukowe, powieściowe dla dzieci, młodzieży i dorosłych

- Dwór i chata.** Wzruszająca opowieść o skrzywdzonej dziewczynie, która jednak odzyskała swoje prawa. 2 tomy 2,90
- Dziecię puszczy** (powieść) — Ks. Pasławski 2,50
- Irusia.** powieść) Ks. St. Pasławski 3,00
- Jagusia.** Historia dziewczynki ze wsi, która zmuszona szukać zajęcia w wielkim mieście i tutaj nie utraciła wiary i przy pomocy św. Terentego pogodziła powaśnione małżeństwo 1.
- Jak zabiłam moje dziecko.** Opowieść 3,50
- Judyta.** Opowiadanie biblijne 1,50
- Kalista.** Opowiadanie z prześladowania chrześcijan w północnej Afryce w pierwszych wiekach chrześcijaństwa 2,20
- Na pograniczu Arabji.** Opowiadanie z podróży 1,60
- Na rozdrożu** (powieść) — Hieronim Zaleski 3,50
- Niewidoma.** Wzruszająca historia niewidomej dziewczynki z czasów prześladowania katolików w Irlandji 1,80
- Syn rozbójnika** (powieść) — W. Grochowska 2,—
- Rycerz Chrystusowy.** Opowiadania historyczne osnute na tle życia św. Wojciecha 4,25
- Tunka.** Ciężkie przeżycia kapłanów zesłanych na Syberję 3,50
- Wójtówna** Nadzwyczajnie piękna opowieść z życia ludu na wsi. 3,—
- W pętach guślarzy** (powieść) — Ks. Skolaster P. S.M. 2,45
- W ręce ojca.** Szereg budujących opisów ostatnich chwil życia tak mężów sławnych, jak i takich, którzy w ostatniej chwili doznali łaski miłosierdzia Bożego 3,50

Zamawiać można pod adresem:

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71.

Skrytka pocztowa 450

PRZEGLĄD KATOLICKI

Tygodnik, przeznaczony dla duchowieństwa i inteligencji, omawia sprawy religijne, kulturalne i społeczne w świetle zasad katolickich.

PRZEGLĄD KATOLICKI

służy sprawie umocnienia kultury katolickiej w Polsce, omawia wszystkie bieżące zagadnienia życia publicznego z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej, przeciwstawiając się napaściom na religję ze strony wrogów Kościoła.

PRZEGLĄD KATOLICKI

podjął energiczną propagandę Akcji Katolickiej tego prawdziwie opatrnościowego dzieła dla odrodzenia religijności w naszych czasach, poświęca też wiele uwagi zagadnieniom chrześcijańskiego małżeństwa.

PRZEGLĄD KATOLICKI

jest niezbędny w ręku każdego duszpasterza, działacza społecznego jako informator wszechstronny, redagowany barwnie i żywo.

Redaktor ks. dr. Józef Zawadzki.

Do współpracowników zaliczają się m. in. J. E. ks. Bkp. Kubina, J. E. ks. Bkp. Lisowski, J. E. ks. Bkp. Szlagowski, ks. prof. Grabowski, ks. Kwiatkowski, ks. prof. Kozubski, ks. prof. Styger, ks. prof. Józef Kruszyński, rektor Un. Lub. ks. dr. J. Pastuszka, prof. U. W., ks. dr. prof. E. Dąbrowski, ks. N. Cieszyński z Poznania, ks. dr. E. Kulesza, ks. dr. A. Roszkowski, ks. Z. Wądołowski, ks. dr. Kazimierzowicz z Pińska.

P. dr. Holder-Eggerowa, p. Z. Zaleska, p. A. Zahorska, hr. J. Tyszkiewicz, hr. H. Tarnowski, dr. M. K. Morawski, dr. E. Rewerowski, dr. Tomanek, prof. W. S. H. we Lwowie, O. Halecki, prof. U. W., H. Romanowski, J. Czarnecki i inni.

Redakcja, Warszawa, Krak. Przedmieście Nr. 71.

Cena prenumeraty rocznie 24 zł.

Dla księżyków, studentów i seminarzystów 50% zniżki

Świat murzyński

Zł. 3.70

Autor—długoletni misjonarz w dalekich krajach—opisuje w swego rodzaju trylogji swą podróż apostolską do Afryki, swój czteroletni pobyt wśród synów Czarnego Łądu, ich życie i obyczaje. Przed oczyma czytelnika przesuwa się ów egzotyczny świat murzyński tak plastycznie przedstawiony, jak gdyby polski czytelnik razem z misjonarzem wędrował.

Ks. Józef Spillmann

Tajemnica spowiedzi

Zł. 3.—

Są książki, które nigdy nie tracą na aktualności, które—można powiedzieć—nigdy się nie starzeją. Do takich książek należy powieść Tajemnica spowiedzi, która doczekała się w polskim języku obecnie już czwartego nowego wydania.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROZCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 9	Ameryka	dolary 2
Francja	frank 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.: KWARTALNA — 2.50 zł. Cena POJEDYŃCZEGO numeru 1 — zł.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 436-18, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3 — 5 po poł. rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA



MIEŚIĘCZNIK
LUSTROWANY



ROK VI. WARSZAWA, MAJ 1932



*Madonna z dzieciątkiem w otoczeniu dwóch ewangelistów
św. Mateusza i św. Łukasza.*

MODLITWA

*Słowami modlitwy, jak kwiatów wonią,
Do stóp Twych, Marjo, się chylę,
Me myśli do Ciebie, jak ptaki, gonią,
Westchnienia — barwne motyle.*

*O Pani Radosna ku Tobie płonie
Serce miłością wezbrane.
Ręce swe połóż mi na blade skronie,
Ulecz jątrzącą wciąż ranę!...*

*Chciałbym zapomnieć w tej szczęścia chwili
O tem, co boli i gnębi;
Zagubić się chciałbym w kosmicznym pyle
Lotem zwycięskim, gotębim...*

*Promieniem słonecznym modlitwy me zgarnij
Najświętsza Panienko Niebieska,
Weź zbłąkanego do swojej owczarni —
Modlitwą proszę Cię dziecka!...*

St. Radost.

BOLSZEWICKIE DAŻENIA

Bolszewizm dąży niewątpliwie do całkowitej przebudowy stosunków ludzkich, do opanowania całego życia i poddania go pod strychulec swej doktryny. Bolszewicy tworzą więc nietylko nową socjologię, ekonomję, ale również i filozofję, a nawet swoistą religię z kultem Lenina, jako ideą naczelną, przeznaczoną dla mas.

Dażeniem bolszewizmu jest stworzenie jednolitej, usystematyzowanej całości społecznej, opartej o wyraźną hierarchję wartości. Oczywiście te wartości — zdobywcz materjalistycznego punktu widzenia, — mają zastąpić dotychczasowy idealistyczny pogląd na świat i człowieka.

Wśród kierunków bolszewickiej myśli filozoficznej wybija się zwłaszcza na czoło mechanizm.

Kierunek ten ostro zwalcza dotychczasowe pojmowanie człowieka i jego roli w świecie. Przedewszystkiem należy wziąć rozbrat z pojęciem indywidualum. Tu mamy niewątpliwie przyczynę, dla której bolszewicy zwalczają tak bezwzględnie Boga osobowego, podstawiając na jego miejsce pojęcie kolektywu, ludzkości kolektywnej. Z niej też wyprowadzają „człowieka kolektywnego“, który jest jej cząstką, jak tryb w maszynie, komórka w ciele i t. d.

Prokowskij — sowiecki „filozof“, wręcz głosi, że człowiek, to aparat i nie waha się również Lenina obdarzyć tą nazwą.

Pojęcie osobowości — to burżuazyjny przeżytek, zaśmiecający dusze ludzkie. „Marksizm — głosi Prokowskij — w osobowości widzi tylko narzędzie, aparat działania historii. Przyjdzie czas, że te aparaty będą sztucznie wytwarzane na podobieństwo akumulatorów elektrycznych“. Bolszewicki filozof z prostoduszną naiwnością wyobraża sobie, że człowieka można naładować frazesami i nastrojami komunistycznymi, jak się ładuje baterję latarki elektrycznej.

Aż cisną się na usta słowa Schopenhauera o „ludziach, którzy poza nóżkami żabiemi i galwanometrami nic więcej nie wiedzą, a jednak ośmielają się tłumaczyć nam świat i człowieka“.

Takimi to pomysłami chce bolszewicka filozofja podtrzymać ustrój, podbudowując go myślowo. Bo jednak bolszewicy doszli już do wniosku, że bez tej podbudowy myślowej, programowej całe ich dzieło reformatorskie zawiśnie w próżni, że zginie wraz ze śmiercią obecnego pokolenia.

Od stwierdzenia tej nieubłaganej konieczności krok już tylko dzieli do wniosku, że jednak taka podbudowa musi być trwalsza od samego ustroju mechano-społecznego, który chcą zaprowadzić.

Bo co właściwie oznacza „kolektyw“, który dziś tak entuzjazmuje sowieckich ideologów, jak ongiś na Zachodzie różnych mędrków porывała w siódme niebo uludy koncepcja „solidaryzmu społecznego“?

Solidaryzm społeczny oczekiwał, że wyobrażenie interesu społecznego zdoła opanować, podporządkować w jednostkach wyobrażenie egoistycznej korzyści, że instynkty człowieka zostaną podniesione i uwznioślonę.

Była to tragiczna omyłka. Społeczność karmiona

koncepcją solidaryzmu, podobną stała się stadu, w którym instynkty ulegały spotęgowaniu. Co za przykry widok stada, żerującego i walczącego jedno przez drugie o lepsze miejsce przy korycie. Społeczeństwo okazało się solidarnem, ale nie w dobrem, tylko w złem.

La solidarit  n'aime pas les fortes t tes, qui rebelent contre discipline. Tak, solidaryzm wytworzył dyscyplinę demoralizacji i niesubordynacji. Instynkty stadne bowiem obniżają poziom etyczny jednostki, hamują jego wyższe popędy. Społeczno-pedagogiczne siły naturalne działają naogół na jednostkę w sposób uwsteczniający.

Społeczeństwo, jako takie, nie jest wystarczającym autorytetem moralnym, moralność świecka jest pozbawioną sankcyj, fikcją doktrynerów, którą przekreśla pierwszy lepszy odruch stada ludzkiego. Nawet obecność kilkudziesięciu profesorów w tłumie nie jest w stanie zahamować stadowych reakcyj, jego zbiorowego barbarzyństwa. Tłum może opanować lub przeciwstawić mu się tylko jednostka, o wybitnej, mocno zarysowanej osobowości moralnej, opartej o autorytet wyższy.

Jest to więc bardzo naiwny optymizm mniemanie, że solidaryzm stanowi wyższą formę uspołecznienia człowieka.

Ludzkie stado, jako apogeum, to iluzja socjologii. Czyż większem jeszcze złudzeniem i omyłką nie jest pomysł traktowania człowieka jako aparatu, a społeczeństwa jako zespołu maszyn.

Tymczasem z taką właśnie teorią występują bolszewicy.

Oto inny bolszewicki myśliciel, Sosnowskij, powiada: „Zadaniem komunizmu jest przeprowadzić do końca dzieło mechanizacji silnie już rozpoczęte w Ameryce i zastosować je w życiu społecznem. Miast niezliczonej ilości uduchowionych, zróżniczkowanych jednostek, wprowadzić całkowicie zautomatyzowanego człowieka kolektywnego“.

Jeżeli zawiodła koncepcja traktowania społeczeństwa jako autonomicznego, samowystarczalnego zespołu, który sobie przez sam fakt istnienia ustala prawa, jeśli człowiek okazał się jedynie solidarny w działaniu na szkodę zbiorowości, jest więc „antyspołecznem zwierzęciem“ — to tembardziej okaże się, że jest antyspołeczną maszyną.

Gdy solidaryzm nie zdołał opanować niesubordynacji jednostek, to mechanizacja i kolektywizacja musi, logicznie biorąc, doprowadzić do ich buntu. Złudzeniem jest bowiem, że można zestandaryzować człowieka jako typ psychiczny.

Typ psychiczny? — odrębność psychiczna ludzi!

Oto o czem zapominają doktrynerzy czerwonej filozofji. Można karmić ludzi w jadalniach, mieścić w zbiorowych sypialniach, zsocjalizować kobietę, ubrać wszystkich niby więźniów w szablonowy strój — ale to tylko zmieni zewnętrzny wygląd człowieka. Człowiek wewnętrzny albo będzie obojętny, albo wręcz wrogo odniesie się do tej tyranji socjalistycznej.

Cz.



Dworek wiejski.

PIERWIASTKI CHRZEŚCIJAŃSKIE W TWÓRCZOŚCI GOETHEGO

Nie ulega wątpliwości, Goethe jeden z najbardziej czolowych przedstawicieli humanizmu nie złożył nigdy wyraźnego credo chrześcijańskiego, a tembardziej katolickiego. Przeciwnie, znany jest ze swego antyklerykalizmu, w którym zresztą nie robił wyjątków dla protestanckiego duchowieństwa, za co przytem spotkały go z tej strony ostre potępienia, jako bezbożnika i siewcy niemoralności.

W swej twórczości Goethe niewątpliwie czerpał u źródeł kultury klasycznej, której przedstawicielem był w całokształcie swych dzieł. Lecz byłoby kapitalnym nieporozumieniem twierdzenie, że Goethe był zupełnie obcy chrześcijaństwu, że nie znał go, że intuicyjnie nie odczuwał prawdy i piękna katolicyzmu.

To prawda, że przez swą postawę duchową Goethe był poganinem, lecz niewątpliwie na podobieństwo starożytnych myślicieli był bliski wierze w Boga-Stworzyciela.

Goethe, jako zamiłowany badacz przyrody, musiał dostrzec w niej celowość, piękno, harmonję i to go podobnie jak ludzi antycznych prowadziło do myśli o Bogu.

„Wär unser Aug nicht sonnenhaft, die Sonne könnt es nie erblicken. Und wär in uns nicht Gottes eigne Kraft, wie könnt, uns Göttliches entzücken“. Dajemy to w naszym przekładzie.

Oko nasze na słońce wyczulone.
Świadczy wciąż, że dla światła jest stworzone.
Tak też myśl boża w nas się czujnie rodzi.
Ponieważ człowiek od Boga pochodzi“.

Lecz nietylko uznaje Goethe Boga, jako siłę panteistyczną, która przejawia się w przyrodzie. Goethe nie jest też obcy zrozumieniu Boga osobowego, czego świadectwem monolog w Fauście: „Wer kann ihn nennen und wer bekennen“. Z chrześcijańskim ideałem harmonizował też niewątpliwie u Goethego jego kosmopolityzm, który go dziś czyni zresztą niepopularnym u zhitleryzowanej czy zhisteryzowanej nacjonalistycznie młodzieży niemieckiej.

Stanowisko filozoficzne określił Goethe najpełniej w swem zasadniczym dziele: „Faust“. Jest ono monografią rozwoju myślowego poety, który od integralnego pogaństwa, od realistycznego spoglądania na życie

i jego sprawy (zaprzękanie się szatanowi dla pieniędzy) wznosi się coraz wyżej ku idealniejszemu światopoglądowi.

A czyż nie wydał poeta najtrafniejszej oceny swego życia i ideologii, sprawiając, że w chwili gdy Faust samobójstwem chce zamknąć rachunek swego marnego życia, powstrzymuje go w tem szaleństwie dźwięk dzwonów Wielkañočných. Niema bodaj w całej literaturze świata tak wzniosłej i pięknej apologii świat Zmartwychwstania Pańskiego, jak ta porywająca scena z Fausta. Goethe umiał się też głęboko wczuć w liturgję modlitwy katolickiej, czego dowodem są dwie modlitwy Małgorzaty: jedna do Matki Boskiej Bolesnej, druga do Matki Boskiej Chwalebnej. Jakże wspaniale brzmi też chorał „Dies irae“, który włączył poeta do strof swego poematu.

Niewątpliwie Goethe musiał się głębiej zastanawiać nad istotą katolickiej myśli i nauki. Świadczy o tem jego opinia jaką wypowiedział w związku z osobą S. Purkyni, z którym pozostawał w stosunkach naukowych w sprawie badań nad obrazami, tworzącymi się wewnątrz oka, Purkyni — pisze Goethe w swym pamiętniku ma dla wewnętrznego spostrzegania daleko większy zmysł od protestanckich uczonych, gdyż pochodzi ze środowiska katolickiego. Protestanci nauczali się reagować przedewszystkiem na świat zewnętrzny.

W „Dichtung und Wahrheit“ poeta pisze z uznaniem o znaczeniu Sakramentów św. dla wewnętrznego życia człowieka“.

Wpływ środowiska katolickiego wybitnie zaznaczył się u Goethego w okresie jego ostatniej miłości do Ulryki v. Lewetzow, która była pobożną i wierną katoliczką i doprawdy odegrała w życiu Goethego rolę podobną do Małgorzaty względem Fausta.

W twórczości Goethego — wbrew szablonowym poglądom — znajdziemy wiele śladów jego zainteresowań katolicyzmem. Przepięknie umiał on wyklądać niektóre legendy chrześcijańskie. Z sympatją i rzewnym nastrojem pisał o św. Filipie Nereuszu, opisał pielgrzymki do św. Rocha w Bingen, stworzył liryczną opowieść o wigilii przed świętem św. Jana Nepomucena.

Jego stosunki z katolikami i katolicyzmem głównie odbywały się na gruncie czeskim. W Cieplicach, gdzie odbywał kurację, zapoznał się z opatem Reitenbergiem, do którego odnosił się z wielkim szacunkiem dla jego zasług społecznych. Jednym z pierwszych jego komentatorów był premonstratens O. Zauper z Cieplic.

Uniwersalizm Goethe'go niewątpliwie wspierał się też na zrozumieniu tych dobrodziejstw, jakie światu i jego kulturze przyczynił katolicyzm.

Oczywiście w religijności Goethe'go przeważają raczej motywy czysto uczuciowe, jak to wogóle było właściwe jego epoce. Religja była zamknięta w granicach wzruszeń uczuć, i wogóle przeżyć, do których rozum nie miał dostępu. Prawo rozumu do ujmowania prawd teologicznych, zostało zakwestjonowane jeszcze przez Kanta. Wyraża to Goethe ustami Fausta, gdy na pytanie Gretchen czy w Boga wierzy, odpowiada: — istotą uczucie, tu imię nieważne. To uczucie religijne uważałem było poniekąd za cel samo w sobie. Również wśród polskich przodowników romantyzmu wyraźnie zaznacza się ten irracjonalny światopogląd.

Mickiewicz mówi „rozum u mnie nieczynny“.

W słynnej improwizacji wyrzuca Mickiewicz Bogu, że jest niewrażliwy na cierpienia ludzkości, że jest sa-

mym rozumem. Bóg — to powinno być serce, wyłącznie serce — tak ujmuje sprawę wieszcz polski.

„Religia Goethe'go — w pewnym okresie jego twórczości — to, co daje poecie ciepło i życie, streszcza się w mglistym i chwiejnym panteizmie, w czemś, co jest obojętnością, jednakim okiem patrzącem na zło i dobro, czemś „ponad złem i dobrem“, tak pisze katolicki krytyk na łamach „Histoire des littératures anciennes et modernes“. (Rok 1902).

Dodaje jednak, że na kartach „Fausta“ znaleźć można wiersze, w których chrześcijańskie uczucie triumfowało nad zimnymi teorjami filozofa“. Są to „wyrzuty sumienia Fausta“.

Nie zapominałmy też, że ten humanista i człowiek antyczny, jakim był Goethe, potrafił z taką pogardą wyrażać się o „bogach Olimpu“ w swym „Prometeuszu“: „Nie znam nic biedniejszego pod słońcem, niż wy bogowie“. Żyćcie nędznie daniną ofiar i tchnieniem modłów majestat swój i głodowalibyście, gdyby nie dzieci i żebracy, pełni nadziei głupcy!“

A dalej.

Oto Małgorzata pogrążona w rozpacz, wzywa błagalnie Matki Bożej: „O, przez miłość wielką, Boga Rodzicielko, wejrzyj na błagalnicy znój“. W odpowiedzi pada wyrok: „Skazana jest! Zbawiona jest!“ W wyroku tym Goethe dał wyraz swemu zrozumieniu chrześcijańskiej sprawiedliwości i miłosierdzia, które karze za winy, ale i przebacza..

Mater Gloriosa, ku której zwraca się modlitwa pokutnicy Małgosi, ratuje swem wstawiennictwem Fausta. W orszaku Matki Bożej występują Ojcowie Kościoła i także „Ojciec seraficki“, którego kościół, ongiś bawiąc w Assyżu, ominał Goethe ze wstrętem. Wówczas radosny „poganin“ nie mógł zrozumieć gloryfikatora cierpienia, biedy, poniżenia, obecnie dojrzały Goethe, przeżywszy duchowo wszystkie klęski faustycznej, pysznej ideologii — korzy się przed majestatem pokory.

To prawda, że w swym Fauście Goethe czerpie pełną garścią z bogactw antycznej mitologii, lecz właściwie na jej tle tworzy swoją własną symbolikę, przetwarzając w niej zwłaszcza platońskie koncepcje o ideach. W ujęciu wieszca z Wejmaru są to idee — Matki, do których ze zgrozą i lękiem zbliża się Faust, są to prawzory i prajawiska wszystkiego, co jest.

Ow dreszcz grozy to „jest najlepsza część człowieczeństwa“ według poety, gdyż przejawia się w niej tajemnica bóstwa i istnienia.

Drugą część „Fausta“ kończy, napisany już przez sędziwego poetę, mit o szarych niewiastach, które otaczają wieńcem umierającego Fausta: Brak, Wina, Troska, Potrzeba. Rozmowa z Troską kończy się ociemnieniem poety i skonem.

„Z nauk i z pism Kościoła — powiada prof. Z. Lempicki — wydobywa Goethe w zakończeniu „Fausta“ postaci, przez których usta wypowiada ostateczny i najgłębszy sens swojej mądrości życiowej, stapiając z głębią wiary pierwiastek mityczny i wycucie nieskończoności w podniosły symbol, którego ostatnie słowa Fausta są przenikliwym wyrazem“.

Tak więc, nie biorąc Goethe'go za przedstawiciela ideologii ściśle katolickiej, czy choćby chrześcijańskiej, nie wypada jednak pominąć w nim tych wszystkich pierwiastków, które go do chrześcijaństwa zbliżały, które go z katolicyzmem wiązały.

J. Czarnecki.

„DUSZA” KSIĄŻKI

Powieść ma „duszę”. Lecz nie tchnie jej w swe dzieło pisarz, który sam nie ma duszy, nie kocha niczego, nie wyznaje żadnych idealów, nie opanował w sobie zwierzęcia.

W „Nouvelles littéraires” omawia Gerard Bauer „duszę powieści”.

Powiada Bauer, że w dziełach współczesnych na plan pierwszy wybijają się osoba autora, egoizm paraliżuje ich pióro. Aby oddać całą rozmaitość świata zewnętrzno, trzeba miłości! Kreacje pisarzy współczesnych to postacie martwe, bez duszy.

Dusza powieści rodzi się z doświadczenia, jak dusza okrętu Kiplinga zjawia się dopiero po pierwszej burzy. Dopiero pewne przeżycia, dają możliwość tworzenia, czynią pisarza, jak się wyraził Mauriac „Bogiem w swoim rodzaju, który również jest Twórcą”. Nie wystarcza zdolność obserwacji, znajomość tajników duszy ludzkiej. Współczucie dla swoich postaci, budzi taki pisarz, który tworzy, przeżywając i odczuwając własne swoje dzieło, który zrozumiał pewien ogólny sens istnienia i stara się go z artyzmem wyrazić.

Sprzyja takiemu ujęciu powieść realistyczna, że wymienić takich realistów, jak wszyscy, z Dickensem na czele, wielcy powieściopisarze angielscy, jak szereg powieściopisarzy francuskich, jak Goethe, którego „Wilhelm Meister” jest także powieścią realistyczną. — Dalej Dostojewski, Tolstoj. Z polskich pisarzy, doskonałym przykładem byłby przedewszystkiem Prus, także Żeromski.

Naturalizm szkodliwą przesadą zmniejszył wpływ zasady, której zawdzięczał powodzenie. W dzisiejszej powieści, skarży się krytyk, znajdujemy rzadko ową „duszę powieści”, atmosferę, którą określa Gautiere:

„...Tout ce que l'existence a d'intime et d'aimer...”
Współczesny powieściopisarz, — powiada Baur, — umieścił pomiędzy swoim doświadczeniem życiowym, a postaciami swej powieści zasłonę nie szczerości.

Płynie to — zdaniem naszym — z nieprzemyslenia grubotnego zadań, które pisarz ma do wykonania.

Zadnym frazesem koturnowym, żadnym sztucznym patosem, czy wreszcie fotograficznym kopjowaniem życia — nie wywinie się prawdziwy pisarz od ciężkiego na nim obowiązku. Jest to kwestja sumienia!

Zycia oraz wymagań artystycznych, jakie stawia ono pisarzowi nie da się zaspokoić gestem literackiej pozy, ani reprodukowaniem rzeczywistości in crudo.

Pisarz jest twórcą. Ma obowiązek moralny dać przez swe dzieła w ramach artystycznej kompozycji jakąś syntezującą ideę, postawić wyższy ponadczasowy ideał, któryby był sprawdzianem życia i przedstawionej powieściowej rzeczywistości. Oczywiście nie wystarcza tu jakiś zdawkowy nominalizm. Idea musi przenikać cały utwór, ideał musi wznosić się nad nim jak słup ognisty.

Gdy np. z tego stanowiska spojrzymy na ostatni rozgłośny wybryk Moissi'ego, zrozumiemy całą jego niedorzeczność, już nie mówiąc o niewłaściwości.

Moissi postanowił przestudjować dla celów powieściopisarskich moment porodu. Uzyskał więc możliwość

asystowania operacji w jednej z klinik. Sprawa się wydała.

Moissi tłumaczy swój krok celami artystycznymi. Chciał przeżyć pewną rzeczywistość, by ją następnie wiernie odtworzyć w powieści.

O jakie przeżycie tu chodzi?

Moissi wraz z płytkimi naturalistami podlega złudzeniu, że wystarczy samo zmysłowe przeżycie, by w konsekwencji powstało kapitalne dzieło sztuki. Nie spostrzegł on, nie przeczuwa nawet, że cała wartość sztuki polega właśnie na tej duchowej nadbudowie i nadwartości, którą wnosi genjusz pisarza. Dante nie wędrował przez „Piekło” a jednak jego Boska komedja czyni na nas wstrząsające wrażenie, i porusza najgłębsze pokłady naszej duszy. Goethe nie widział Mefistofelesa, a przecież jego „Faust” przemawia do nas z mocą dotąd nieodpartą, nie stępną przez działanie wieków.

Schaeskspir nie mordował, a przecież lady Mackbett to porywające studjum duszy zbrodniarza.

Kto ma pustkę w duszy, kto jest bez idei, przypomina aparat fotograficzny nastawiony na zdjęcie — brak tylko słońca, by klisza odbiła przedmiot. Bez światła idei praca pisarza jest fotografowaniem w ciemni i pustce, jest przysparzaniem zacernionej makulatury.

W marcowym numerze „Schöne Literatur” znajdujemy ciekawe myśli dotyczące powodów, dla których propaguje się wolną miłość itd. W numerze tym zamieszcza pani Joanna Dege artykuł p. t. „Die Ehe als literarisches Problem”. W artykule tym pisze autorka:

„Obecny ruch kobiecy wykorzystuje przedewszystkiem. mężczyzna. Niekiedy on sam ruchowi temu przewodzi, żeby sobie stworzyć bardziej wyrafinowany rodzaj prostytucji. Wyśmiewa on naturalną bojaźń i wstyd dziewczęcy, nie wiedząc i nie chcąc wiedzieć, że wstyd ten jest danym przez naturę środkiem samoobrony, który niszczy „literaturę”, Lindsey'a „Małżeństwa koleżeńskie” i Calvertona „Bankructwo małżeństwa”, należące niestety do najbardziej poczytnych książek. Przeciwno tym mężczyznom, którzy w dzikim egoizmie zabijają w kobiecie to, co jest w niej najgłębszego i najlenszego — pierwiastki macierzyństwa. Należy powiedzieć: niejasne i opierające się na fałszu wspólne życie miłosne doprowadza kobiety do ruin. Miłość kobieca bowiem znajduje swe zaspokojenie nie w pierwiastkach erotycznych, ale w wspólności życia, w łączności duchowej z mężem oraz pierwiastkach macierzyńskich. Krzyż małżeństwa pod znakiem Freuda jest w znacznej części jedynie wynalazkiem mężczyzny i oniera się na łatwym do odgadnięcia podłożu. My kobiety — możemy wołać z Róża Mavreder — pragniemy małżeństwa. Małżeństwo nie jest tylko wzajemnym dzieleniem losu, ale jest dobrym losem, tak dobrym, że dzisiejszy niedobry świat nie może go już zrozumieć”. — Krzyż małżeński — to wynalazek mężczyzny.

Problem macierzyństwa nastrocza wiele interesu nie tylko ze stanowiska socjologii czy higieny, nie mówiąc już o moralności i religii, ale również i w płaszczyźnie psychologii.

(Wyjątek z książki „Zmysły na licytacji”).

Ewa Lavallière nie była pierwszą i nie była ostatnią.

Nawrócenia wybitnych aktorek, które opuszczały scenę, by oddać się kontemplacji w zaciszu, znały już pierwsze wieki chrześcijaństwa; notują je kroniki niedawno minionych stuleci, a i teraz wiadomości takie co jakiś czas wyczytać można na szpaltach pism codziennych. W pełni powodzenia opuściła niedawno Comédie Française Iwona Hautin, która wstąpiła do zgromadzenia Małych Sióstr w Lourdes; klasztor nad sukcesy w Studio des Champs Elysées przełożyła Zuzanna Delormo. Dzienniki paryskie skwapliwie notują wiadomości o takich ucieczkach ze sceny ulubienic publiczności, zabiegają o wywiady, czyniąc wokół ich postaci rozgwar, którego one oynajmniej sobie nie życzą i którego przecie unikają. Ale ciekawość czytelników jest nienasycona.

Tak samo było przed piętnastu laty, kiedy rzuciła Variétés Ewa Lavallière. Krok ten był dla Paryża niespodzianką, niespodzianką tem więcej pociągającą, że Ewa Lavallière była ulubienicą publiczności, i to nie tylko tej stałej, paryskiej, lecz zwłaszcza tysiącami do nadsekwąńskiej stolicy nadciągających „etranżerów“. Od 1917 r. dzienniki i tygodniki w regularnych niemal odstępach przynosiły artykuły, a nawet utwory belletrystyczne, starające się wyświetlić pobudki kroku gwiazdy Variétés, często nawet mocno fantastycznie.

Dowodem zainteresowania się czytającej publiczności osobą Ewy Lavallière może być fakt, że jeszcze za jej życia, na parę lat przed śmiercią, ukazała się kilkunastoarkuszowa książka, zatytułowana wprawdzie powieścią, lecz w istocie będąca wcale wyczerpującym życiorysem. Autor, Raymond Marcerou, uwydatnił przede wszystkim momenty o zabarwieniu sensacyjnym, gdyż takie chętniej pochłania zaintrygowana publiczność, niemniej jednak obszernie przedstawił lata przełomu i zmagań duchowych, by zakończyć wzruszającym obrazem schorowanej, cierpiącej aktorki, która była wtedy na rzadko osiąganym wyżynach duchowych:

„Westchnawszy, wyciągnęła się na krześle plecieniem i przymknęła zlekka oczy.



ZE SCENY KU BOGU (EWA LAVALLIÈRE)

owocem powołania.

Wzniesienie się mistyczne Ewy Lavallière świadczy, że jej powołanie było nagłe; zerwała ona wszystkie więzy. Dzisiaj dawna gwiazda pije ze świętej rzeki, w której niema najmniejszego śladu błota doczesności“.

Cierpiała Ewa Lavallière w ostatnich latach życia, cierpienie jednak rozjaśniało mistyczne zjednoczenie się z Bogiem. Dzieciństwo natomiast jej było pasmem dni chmurnych, ponurych, bez żadnych chwil jaśniejszych, wreszcie przyćmione zostało do reszty krwawą tragedją, której wizja narzucała się jej odrazu na samą myśl o latach dziecięcych.

Córka sfrancuziałego Włocha, nazwiskiem Fenoglio, z zawodu krojczego w magazynie nowości, nie знаła ciepła domu rodzinnego. Dom Fenoglio'ów przeżył atmosferą nienawiści, niezgody, przekleństw i klótni. Stosunek ojca do matki był doprawdy gorszy niż kata do swej ofiary i, rzecz oczywista, nie znała miłości ojcowskiej również dzieci. Nieraz, gdy ojciec wpadał we wściekłość, matka musiała opuszczać dom, ażeby czyto u krewnych, czyto u sąsiadów znaleźć pociechę w płaczu. W oczach jej małej córki malował się stale głęboki smutek, lecz jakżeż miał się nie malować, gdy dom żył w ciągłej trwodze! W latach triumfów,

Kiedy mówiła, wyczuwałem, jak pod białą suknią uderzało przyśpieszonym rytmem jej serce..

Nieruchoma zupełnie, z twarzą wyłożoną odbłaskami słońca, zdawała się spoczywać w pokoju Bożym. Słodycz, którą promieniała jej twarz, oplaciła udawkami fizycznymi wręcz ponad siły ludzkie. Zgłębiwszy nicość rzeczy ziemskich, sercem, które nie biło dla kogoś innego, ukochała jedynie Boga. Miłość Boża doprowadziła ją do cierpień, które przyniosły jej szczęście najwyższe.

Ileż dusz może dojść do tak wysokiego uduchowieńia? Dużo coprawda nawraca się osób w następstwie przełomu wewnętrznego czy wstrząsu moralnego. Niekiedy nie jest to niczem innym jak czynem bez jutra, jak nową orientacją w ich dążeniach. Ale wówczas, gdy nawrócenie ukoronowane zostanie cierpieniami, jest napewno

krytycy teatralni widzieli smutek ów w najczarowniejszym uśmiechu Ewy Lavallièrè, lecz jakżeż miał się nie pogłębić i nie utrwalić na zawsze, gdy rezultatem złego pożycia małżeńskiego rodziców była krwawa tragedia! Kiedy miała lat piętnaście, ojciec po zwykłej kłótni strzelił do matki z rewolweru, raniąc ją śmiertelnie i wymierzył do córki, ponieważ wszakże ta wyskoczyła przez okno oraz zaczęła wzywać pomocy, zmierzył do siebie, popelniając samobójstwo. Przyszła aktorka została sierotą, brzemień zaś sieroctwa ogromnie silnie wycisnęło piętno na jej charakterze.

Z domu rodzinnego pozostało jej wspomnienie piękła, odkąd zaś zaopiekowała się nią ciotka, kobieta surowa i kostyczna nad wyraz, znowu nie było jej daniem trafić na atmosferę miłości. W domu ciotki panował rygor bezmała więzienny:

Ledwie nadarzyła się okazja, sierota oddana została przez ciotkę do sierocińca. Nowe otoczenie dziwnie bardzo ustosunkowało się do niej, czuło do niej niechęć ze względu na... zbrodnię jej ojca.

I nie wytrzymała sierota. Jakiegoś dnia wyrwała się przez okno — drzwi w sierocińcach dobrze pilnują odźwierni — i udała się z prośbą o pomoc do znajomych rodziców. Przygarnięto ją, dano jej zajęcie Pracowała jako kapeluszniczka i to całkiem zdolna, bo, gdy wymyśliła nowy sposób zdobienia kapeluszy, przyjęły go jej przyjaciółki, a od nich cała dzielnica. W ten sposób w małym cóprawda gronie stała się „dyktatorka” mody.

Mija rok, dwa... Niespokojny duch i żądza nowości budzi się ponownie. Dość regularnego, przeciętnego życia! Jest nowy cel dążeń — teatr, ów „świat uludy”, jak go u nas nazywał Józef Kotarbiński. Prawdę mówiąc, to do sceny miała inklinację od dzieciństwa. Jeszcze za życia rodziców grała ku wielkiej ich dumie na jakimś przedstawieniu amatorskim. Teraz postanawia przyłączyć się do wędrownej trupy aktorskiej. Opiekunowie nieobecni. Chce znowu korzystać z nieuwagi i wyrwać się niemniej pokryjomu, jak z sierocińca.

Koniec końców opuszcza prowincjonalne Perpignan. Widzimy ją w Paryżu. Na nowej drodze los nie pokąpił jej trudów do pokonywania. Jednak stara się je pokonać. Światła ramp teatralnych są tak ponętne! Trzeba się przedtem dobrze ćwiczyć, by stanąć w ich promieniu! Ewa Lavallièrè próbuje sił w owych licznych koncert-kawiarniach drugiego rzędu, których miał Paryż bardzo wiele.

Nie można było tak występować całe życie. Teatr kusił. Nareszcie! W 1890 r. „odkryto” ją. Za całe osiemdziesiąt franków na miesiąc zaangażowało ją Variétés, zaangażowało bynajmniej nie na gwiazdę, ale na zwykłą figurantkę, których wymagała „Piękna Helena”.

Nad Sekwaną święci w tych latach triumfy i panuje niepodzielnie papa Offenbach. „Piękna Helena” jest żelaznym repertuarem Variétés. Stale komplety. A tu staje się rzecz nieoczekiwana: umiera nagle aktorka, występująca w roli Orestesa.

Wyjście znalazło się nadszpedzowanie szybko: w roli Orestesa wystąpi Ewa Lavallièrè! Po południu powtórzyła znaną sobie partię, wieczorem zaś tegoż dnia śpiewała ją na scenie. Sukces odniosła nieporównany. Dzięki zbiegowi okoliczności bezimienna figurantka przekształciła się w filar teatru.

I odtąd sukces po sukcesie. Pracuje nad sobą nadal, dąży do perfekcji wokalne ku tem większemu za-

dowoleniu krytyki i publiczności. Co jedna rola, tem więcej pochwał. Piszą o niej pisma, mówi się w towarzystwie, gdyż jest bożyszczem tłumów. Oklaskuje ją galerja, krzesła, pierwsze rzędy i łoże, w których się nieraz ukazuje „największy paryżanin z pośród wszystkich królów”, angielski Edward VII, i dzisiejszy banita, hiszpański Alfons XIII, i portugalski Emanuel, i książę Henryk Bawarski, i książę Filip Orleański, niekoronowany król Francji bez państwa.

Sztuki dla Ewy Lavallièrè piszą najwybitniejsi dramaturdzy tamtocoześni. Na jej usługi jest Lavedan, Alfred Capus, de Caillavet, Francis de Croisset, Robert de Flers, zwłaszcza ten ostatni, który w dużej mierze jej właśnie zawdzięcza swe sukcesy.

Najwspanialszą kreacją aktorską Ewy Lavallièrè była rola w „Królu”, zgrabnej komedji aż trzech asów: de Flers'a, de Caillavet'a i Arène'a, wyszydającej zlekka demokrację. Ściągała ona do Variétés tłumy, którym postać jej na długo pozostawała w pamięci.

Im większe osiągała wielką artystką sukcesy, tem smutniejsze stawały się jej oczy. Bo, osiągnawszy sławę na scenie, w sercu mimo wszystko czuła pustkę. Nie nasyciło to na długo tęsknoty wewnętrznej. I trudno nawet dziwić się, że pomimo sukcesów w „Królu” usiłowała popelnić samobójstwo przez rzucenie się w nurty Sekwany. Powstrzymał ją jakiś prosty człowiek.

Teraz zastanawia się głębiej nad życiem, błądzi, szuka. Gra jeszcze ciągle na scenie, jeździ z występami po prowincji, odbywa tournée po Anglii, ma nawet kontrakt do Ameryki, lecz nareszcie zrzucała, czego jej potrzeba. Postanawia rzucić scenę i oddać się pracy dla bliźnich, zjednoczeniu się z Bogiem.

Paryż przyjął tę sensacyjną wiadomość z niedowierzaniem. Najpoważniejsze pisma poświęcają jej artykuły. Są nawet tacy, którzy starają się odwieść ją od tego kroku, perswadując podobnie, jak jeszcze w 1911 r. książę Henryk Bawarski, zaniepokojony wiadomością o pobycie jej w szpitalu u zakonnic:

„Niech mi Pani pozwoli wierzyć, że Pani nie jest „Lavallièrè” jedynie przez wdzięk i że „Ewa” weźmie w Pani górę”.

Jednak Ewa nie wzięła góry nad Lavallièrè, która gotowa była uczynić to samo, co przed dwustu kilkudziesięciu laty księżna de La Vallière, później w zakonie sióstr Karmelitanek siostra Ludwika od Miłosierdzia.

Narazie, gdy o zakonie nie może być mowy, postanawia się zająć sierotami, ale plany krzyżują się. Skasowawszy wspaniałe apartamenta w Paryżu, będzie odtąd przez lat parę żyć w walizkach, podróżując po Francji i nawet po Afryce. Czas jakiś spędza w Lourdes, zostaje przyjęta do trzeciego zakonu franciszkańskiego, pracuje na misjach w Afryce, odbywa podróż saharijską szlakiem o. Karola de Foucauld, misjonarza i męczennika Sahary, niestety zdrowie nie dopisuje. Nie ma sił, cierpi bardzo, lecz jest szczęśliwa. Nie mogąc działać aktywnie, w zaciszu Betanji — tak nazwała swój dom w Thuillières — oddaje się kontemplacji. Tam właśnie odwiedzał ją i biograf jej Marcerou.

Zdała od świata, który raz po raz natrętnie jeszcze przypominał się prośbami o wywiady i o autografy, żyła Ewa Lavallièrè lat parę, pielęgnowana przez wierną Leonę, która też była kiedyś aktorką. Po życiu pełnem cierpienia umarła latem 1929 r. Śmierć jej była śmiercią świętych. Gwiazda teatrów zgasła dla ludzi, zapaliła się dla Nieba.

Józef Marjan Chudek.



Krzyż w Colosseum rzymskiem. Doroczna uroczystość uczczenia pamięci męczenników chrześcijańskich.

DROGI CIERNIOWE

Moją głowę zmiażdżoną, moje ręce złamane
 Chryste, Tobie przynoszę do stóp,
 Połóż dobre Twe dłonie i po ranie lecz ranę —
 po torturach ślad sznurów i śrub.
 Straszne maski dokola, groźny przeży się pazur,
 zgrzyta tysiąc drapieźnych, złych paszcz —
 Chryste, Chryste, ratunku! Rzuć na oczy me lazur,
 owiń, owiń w niebieski Twój płaszcz.
 Szedłem równią lodową, szedłem długo w samotni,
 ból gniótl czolo, jak z blach ostrych kask,
 Roztop serce zamarzę, suche oczy zwilgotnij —
 Chryste, rzucam się w morze. w Twój blask.

A. Zahorska.

PLAŻA

Białego piasku ławica przy brzegu w toni się chowa,
 Bierze ją w swoje objęcia toń zdradna, toń szmaragdowa,
 I, zda się, zatopić pragnie tak bystro płynąca rzeka,
 Lecz fala lekko ją muśnie i bieży dalej, nie czeka...
 Niebo jest takie niebieskie, w wodzie się srebrnej odbija,
 Cisza jest taka przejrzysta, powietrze w nią się owija,
 Zieleń jest taka kojąca, w dali zielenią się niwy,
 Słońce jest takie palące, ogień złocisty, a żywy.....
 Niechże ten ogień stopniowo całą twą istotność przenika,
 Nie chciej na plaży niczego, nawet powiewu wietrzyka,
 Zapomnij, że są na świecie wichry, i burze i deszcze,
 A pragnij słońca pieszczoty, teraz, i jeszcze, i jeszcze....

M. v. W. Sandlerowa.

KLANGOR ŻÓRAWI

Żółtobłękitne blaski latarniane
 Na bruk uliczny
 Na asfalt wyświechtany
 Padają.....
 Miarowy krok policjanta...
 Spóźniony przechodzień.....
 Nędzarz skulony na plantach...
 A w kawiarence
 Gdzieś
 Skrzypce lkają —
 Jak co dzień,
 Jak co nocy.
 Idę — — —
 I takim zmęczony;
 O nie się nie kłopotę — — —
 Jedną myśl chłonę:
 Lec — i nie nie myśleć;
 Odpocząć
 Jak ten bruk wyświechtany.
 Naraz —

Dźwięk:
 Ni płacz — ni jęk...
 Stamtąd,
 Kędy nie patrzą ludzie z miasta:
 Z góry —
 Z nieba, z błękitów,
 Śród gwiazd prawie,
 Co ponad chmury świecą —
 Lecą... lecają...
 I grają... grają...
 I grają i lecają —
 Żórawie!.....
 Przedziwnie tęskny, nieustanny,
 Jękliwy, dźwięczny, jakby szklany
 W ciszę się dźwięk za dźwiękiem wtrąca,
 By miedź harfianych strun brzęcząca...
 Z pod gwiazd gdzieś hen rozmigotanych,
 Na asfalt spada wyświechtany
 Za dźwiękiem dźwięk...
 Za jękiem jęk...

Co serca szarpie rany....
 Ptaków rozległych pustkowi
 Śpiew się hen w górce perlowi —
 Śród gwiazd płonących się pławi
 Klangor żórawi.....
 Myśl uskrzydłona wstaje — — —
 Kryształy się: — pamięta: —
 Kiedyś — wiosna miniona
 Odległy, cichy cmentarz.....
 A w górze — jęk żórawi!...
 Myśl — rwie się w tamte strony,
 Na dawnych lat wyraje
 W śródchmurny lot wyrusza — — —
 — Serce się krwawi
 I falę wspomnień lka — — —
 A dusza —
 Leci... leci...
 Żórawią pieśnią gra.....

Bronisław Miazgowski.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

POCIESZYCIELKA STRAPIONYCH

Nie trzeba udowadniać nikomu, że są na świecie troski, strapienia, cierpienia i smutki. Prędzej czy później, w mierze większej czy mniejszej, doświadczenie pouczy każdego o ich rzeczywistości. Zawsze mamy ich pełne ręce, przepelnione serca i dusze. Na ich brak nikt się nie uskarża, na ich nadmiar tylu płacze. Płacze gorzkimi łzami zwłaszcza w naszych czasach, kiedy tego ziela boleści rośnie tak dużo na każdym zagonie.

A płacz bywa tem rzewniejszy, że w wielu wypadkach cierpienia i smutki są tego rodzaju, że nikt z ludzi usunąć ich nie zdoła. Co wówczas ma czynić biedne serce człowieka? Ono nigdy nie przestanie czuć i rozumieć, że wyszło z ręki dobrego Boga, że do szczęścia stworzone — szczęścia zawsze pragnąć będzie. To też w takich chwilach rozgląda się za Kimś, kto potrafi pochylić się ku niemu z niezwykłą pociechą... Łzom umie odjąć ich gorzyc, a rozniecić promień wesela, jeśli nie w sercu samem, to przynajmniej w jego pobliżu. I skarb nad skarby znajdzie wówczas serce ludzkie strapiione, jeśli znajdzie takiego pocieszyciela i taką pociechę.

W zwykłych bowiem cierpieniach i troskach codziennych pierwszym pocieszycielem samego siebie jest i powinien być człowiek sam! Na to Bóg dobry dał mu rozum i oczy, żeby dokładnie mógł przypatrzeć się sobie, rzeczowo stwierdzić, co powoduje jego strapienia, z jakiego źródła te gorzkie wody płyną, i, stwierdziwszy to źródło strapienia, usunąć.

Niech tylko o jednym pamięta. Mianowicie, żeby w takim codziennym strapieniu, które sam, lub z pomocą innych usunąć może, nie tracił spokoju, równowagi umysłu i panowania nad sobą. Nic bowiem łatwiejszego wtedy, jak trawienie głowy, załamywanie łąk, biadania, czarna rozpacz, szczególnie u kobiet i młodzieży. Połowa smutków i strapienia znikłaby z powierzchni ziemi, gdyby ludzie wszyscy pamiętali o tem, że najpierwszym ich pocieszycielem jest — zrównoważony, pogodny, spokojny rozum.

Biadania zła nie usuną, tylko je powiększą, gdyż biadanie bezowocne jest samo nowem strapieniem. Kto biada i traci głowę w zwykłym strapieniu, zamiast spokojnie pomyśleć o jego usunięciu, ten postępuje, jak małe dziecko. Skaleczy się malec w paluszek i w tej chwili w płacz, w krzyk. Niech na to nadbiegnie nie-mądra również i niezaradna matka i zacznie wtórować malcowi! Czy krew złęknie się krzyku i płynąć przestanie? Zamiast płaczu trzeba palec opatrzeć i obandażować... Tak i my często czynimy. Płaczymy, biadamy, zamiast spokojnie zbadać skaleczenie i roztropnie przewiązać ranę serca...

Zdarzają się wszakże w życiu ludzkim wypadki strapienia niezwykłych. Wówczas żadna siła ludzka, żaden najmędrzy nawet rozum, pomoc nie zdoła, nie usunie zła, które nas trapi. Niekiedy nieszczęście za nieszczęściem, klęska za klęską, jak grom za gromem, jak morze wzburzone, biją w kruchą łódkę serca

naszego. Wówczas nietylko serce dziecka, nietylko serce kobiety, ale nawet serce mężczyzny, z natury bardziej zimne i spokojne, nie może się oprzeć samo żywiołowej sile bólu. Gwiazdy zdają się wtedy gasnąć nad głową, grunt się z pod nóg usuwa, a przed oczyma duszy otwiera się otchłań bezdennej rozpacz...

W takich chwilach cała mądrość człowieka stre-szcza się w tem, żeby sobie powiedzieć jasno, że kimkolwiek się jest, jest się dzieckiem niezaradnem, dzieckiem, które winno biec pod skrzydła matki. Matki, pełnej mądrości i mocy nadludzkiej, Matki Boga.

My sami złu zaradzić nie umiemy, Ona zaradzić potrafi. Do niej pośpieszmy, jak nas nawołuje pieśń: „Idźmy, tulmy się jak dziatki — Do serca Marji Matki, To serce zna dzieci głos, — Odwróci bolesny cios“.

Bronić się należy wszelkimi siłami przed nieroz-sądną pychą serca i umysłu, która każe zasklepić się w swej boleści, w swej niemocy, z pominięciem pociech religji. Gdy chleba niema w domu, każdy gotów obieć wszystkie sklepy miljonowego miasta, byle zaspokoić głód ciała. Tak samo czynimy z głodem duszy. Zamiast biadać bezpłodnie, bo coż to pomoże? — podążmy do stóp Pocieszycielki strapiionych...

Możemy wtedy płakać, ale u Jej kolan, możemy się skarżyć, ale na Jej Sercu. Ona pociechę dla nas znajdzie... Wskaże Ją przy konfesjonale roztrzonego spowiednika, potem u Stołu Chrystusa.. I ze łzami połowa strapienia spłynie. Świadomość, że Matka Boga o nas myśli, rozleje się jak strumień ulgi i balsamu w duszy naszej. Pocieszycielka strapiionych zajmie się nami rzetelnie. Albo uchyli zło, które nas trapi, albo jeśli nie uchyli — bo na jego uchylene czasem tysiąca cudów potrzeba, którycheśmy nie warci — wówczas pouczy nas w głębi duszy, dlaczego mamy cierpieć. Gdy człowiek wie, dlaczego cierpi, cierpienie traci kolce. Dziecko, któremu każą porzucić zabawki i wybierać się w daleką drogę, — wybuchnie płaczem. Ale gdy mu powiedzą, że zobaczy mamusię, przestaje płakać i nie posiada się z radości.

Tak uczyni Marja z sercem naszym. Wskaże mu na Serce swoje, mieczami boleści przebite... Powie, że i Ono cierpiało, cierpiało więcej, niż wszystkie serca ludzkie... Za grzechy świata, za uświęcenie dusz, za większą chwałę duszy naszej w niebie. „Według mnóstwa boleści moich, uweseliły mię pociechy twoje“... Cierpienie kosztuje, wiele kosztuje. Za kosztowną perłę wiele przed Bogiem kupić można. Przebaczenie win swoich, bliźnich, rodziny swej... łaskę nawrócenia dla wielu, chwałę wieczną w niebie.

Dla kęsa chleba ludzie tyle przecierpieć umieją. Dla Boga, dla wiecznego szczęścia swego cierpieć mamy. Małym przyjacielem Boga jest ten, kto Mu ofiaruje mało, a wielkim przyjacielem Boga jest ten, kto Mu ofiaruje wiele, ofiaruje wszystko. To zwłaszcza, co najwięcej boli...

Tak uczyniła pod krzyżem Pocieszycielka strapiionych.



PRZEZ PÓŁNOCNĄ AFRYKĘ

(WSPOMNIENIA Z WĘDRÓWKI). I (Ciąg dalszy).

Zanim zbudowano bazylikę Notre-Dame d'Afrique, czyli przed 1857 rokiem, była tu tylko figura Matki Boskiej. Potem postawiono kaplicę, a wreszcie dzisiejszy kościół w stylu romańskim, który ze swoją wielką kopułą i wypukłą dzwonnica robi imponujące wrażenie, zwłaszcza z morza.

Umieszczony w środku posąg Madonny, tak zwana Czarna Matka Boska, przyciąga nie tylko pobożnych katolików, ale nawet kobiety mahometańskie, które przychodzą tutaj modlić się do Lella Miriam, jak nazywają Najświętszą Pannę.

W bazylice wiszą pamiątki po różnych dygnitarzach wojskowych, na przykład szpada marszałkowska Péllissier, zdobywcy Sewastopola, szabla generała Jusufa, wyżej wspomnianego i tak dalej.

Zakrycia znajdowała się pod zarządem zakonnicy Polki ze zgromadzenia Franciszkanek Misjonarek Białych. Zaczyna rodaczka robiła mi honory w kościele i miło było potem z nią porozmawiać o stosunkach miejscowych po polsku. Dowiedziałem się też, że niedawno umarła Polka-szarytka w Algerze i, że Soeurs Blanches kardynała Lavigerie mają także jedną Polkę.

O naszym kraju spotkałem w gazecie afrykańskiej bardzo długi artykuł, w którym Pologne była nazwana puissance qui nous est chère.

Jeden Algierczyk pyta mnie pewnego razu:

— Alors, vous prospérez?

— Au fur et à mesure, a na wypadek wojny zawsze stoimy przy boku Francji. Sześćdziesiąt dewizyj, zgodnie z życzeniem Foch'a, jak obszył! Puissance, to puissance!

My wojny sami nie zaczniemy i nie pragniemy jej wcale. Niestety Europa, pomimo agitacji pacyfistów, siedzi ciągle na beczce prochu, a w kieszeni ma dwie główne: Niemcy i Rosję sowiecką i tylko na nie trzeba uważać, żeby nie wyleciały, a będzie spokój. Na jego straży stoją Francja i Polska.

W pobliżu Notre-Dame znajduje się seminarjum teologiczne, prowadzone przez Lazarystów. Wiedzie do niego ładna aleja wśród ogrodów. Urządzenie zakładu wewnątrz jest dosyć skromne, ale miłe robi wrażenie.

Niektórzy klerycy mieli zupełnie murzyńskie twarze. Dowiedziałem się jednak, że nie są to Negrowie afrykańscy, lecz pochodzą z Martyniki. Tamtejszy biskup przysłał ich tu pięciu na studia, bo we Francji byłoby dla nich za chłodno.

Pomiędzy seminarzystami było też trzech Kabylów. Jeden biedaczek leżał chory na febrę w infirmerji. Czołem przed nimi, bo to są potomkowie najstarszych mieszkańców Afryki północnej! Wszyscy inni, nie łącząc Fenicjan, byli tylko przybłędami skądinąd.

Mówią jeszcze do dziś językiem własnym, należącym do rodziny berberskiej. Różni się on zupełnie od arabskiego. Wieś, na przykład w tym ostatnim języku nazywa się „deszra“ (u Arabów wschodnich „beled“), a po kabylsku „tadert“.

Takie ich wyrazy jak: adrar (góra), arahar (rzeka), taurirt (pagórek), irzer (potok), azeru (skała), iguer

(pole) świadczą o obfitości dźwięku „r“ w tej mowie.

Kabyle wyznają islam i bardzo rewolucyjnie byli dawniej usposobieni do Francuzów. Dziś zmienili się bardzo. Chętnie posyłają dzieci do szkół francuskich, a nawet tu i ówdzie przyjmują chrzest, czego o Arabach nie można powiedzieć.

Dzieło kardynała Lavigerie i Ojców Białych dotychczas wydało niewielkie rezultaty w Algerze, przynajmniej pod względem, ściśle religijnym. Tylko wśród Kabylów kilka gmin katolickich dobrze się rozwija, a nawet zdarzają się pomiędzy nimi, jakieśmy widzieli, już i powołania do stanu duchownego.

Mówił mi zresztą jeden z misjonarzy, że mahometańscy Arabowie i Kabyle nie lubią się wzajemnie. Ta niechęć ma nawet przypominać Żydów i Samarytanów w Palestynie, coby świadczyło o wielkim jej napięciu.

Tak się złożyło, że jedynym człowiekiem chorym na pospolitą w Afryce lebrę, którego widziałem podczas swojej podróży, był Kabyl, należący więc do rasy berberskiej. A przecież tutejszych Libijczyków Rzymianie uważali za najzdrowszych ludzi na świecie, tych „veloces, patientesque laborum“, których dopiero „senectus dissolvebat“, jak mówi Sallustjusz.

Jeden z tutejszych lekarzy twierdził, że Kabyle mają psią otrzewnę. Nie trzeba zresztą brać tego w znaczeniu obelżywem. Wiadomo myśliwcom, że psa, któremu dzik rozpruł brzuch na polowaniu, zszywa się jakąś igłą i nitką, poczem pies wkrótce przychodzi do zdrowia. Przy podobnym operowaniu człowieka trzeba być bardzo ostrożnym, żeby nie wywołać infekcji.

Otóż tego lekarza wezwano do Kabyla, przebitego rogiem. Został pacjenta, leżącego od wielu godzin pod figurą i otoczonego rojem much. Przy operacji pchły skakały doktorowi na lancet i na pincetki, a niejedna mniej zrećzna wleciała pewnie choremu i do brzucha. W naszym europejskim rozumieniu rzeczy zabieg był spóźniony i warunki niehygieniczne, musiała więc nastąpić peritonitis. Tymczasem w osiem dni potem operator zauważył dzielnego jeźdźcę galopującego na mule i ze zdziwieniem poznał w nim swojego pacjenta, który już był zdrow jak ryba.

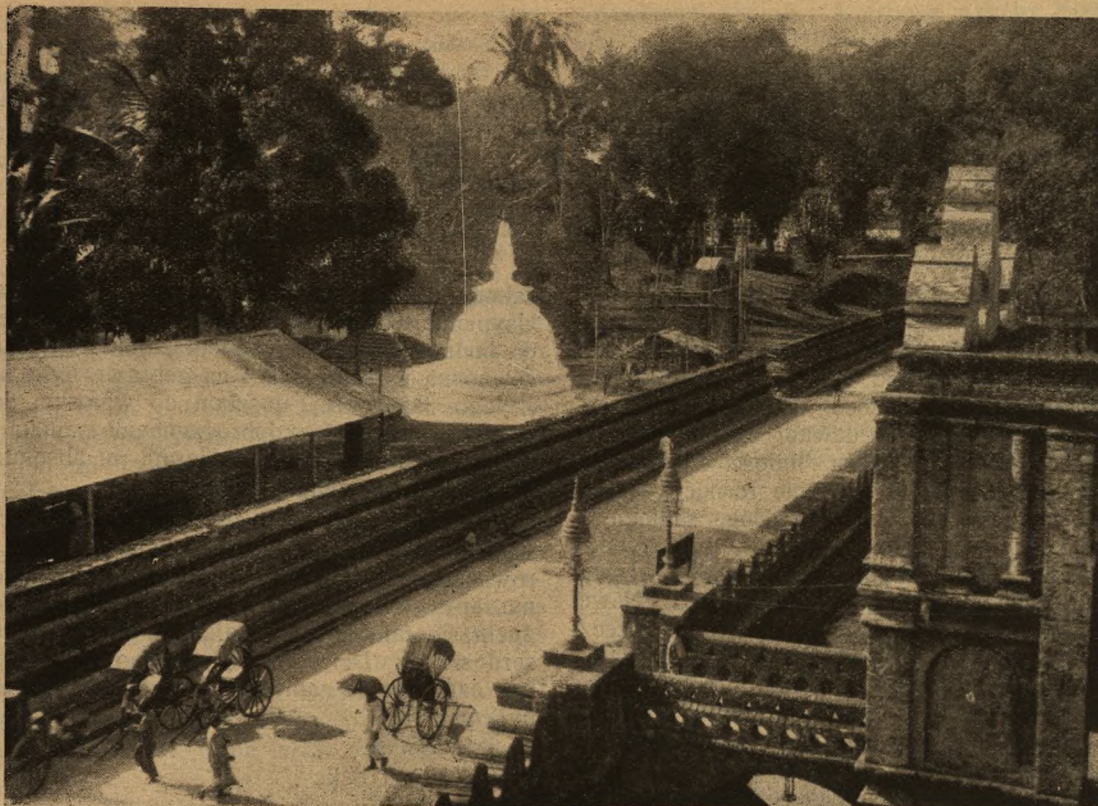
Pożegnałem zacnych i sympatycznych Lazarystów. Z bardzo miłym profesorem Pisma św. nagadałem się najwięcej. Potwierdził on, że Arabowie bardzo szanują duchowieństwo katolickie i księży nazywają marabutami, jak swoich ascetów.

Jeden z muzułmanów tamtejszych powiedział do naszego misjonarza: „W duchu, to wy jesteście mahometanie, jak i my“! Nastąpił oczywiście energiczny protest przeciwko takiej identyfikacji.

Dowiedziałem się również, że Arabowie algerscy nie lubią żydów. Wielką dla każdego z nich obelgą jest przewisko: „Judi ben Judi“ (żyd syn żyda).

Izrael upodobał sobie tutaj klimatyczne przedmieście Saint Eugène, gdzie się znajduje też i kirkut.

Wróciłem do miasta. Na bulwarze formowało się wojsko dla prezydenta. Sami murzyni w czerwonych fezach i mundurach khaki. Taki Neger ma zawsze na



Ceylon. Aleja spacerowa w stolicy wyspy

twary uśmiech napół dobroduszny, na pół ironiczny i jeżeli robi na ulicy porządek w charakterze oficjalnym, to bardzo delikatny jest dla publiczności.

Chciałem się spuścić ascenseur'em do dworca kolejowego, bo w Algerze wszystko leży jedno nad drugim. Zastałem tam istne piekło, krzyki, wymyślanie. Jakiś turysta, wyglądający na Anglika, zepsuł w nieznanym mi sposób windę. Usunąłem się dyskretnie, żeby nie był pociągnięty na świadka do sądu.

Alger jest bardzo ładny, ale ciągłe chodzenie pod górę trochę do niego zniechęca. Ktoby chciał mieszkać w tej okolicy dłużej, temu radziłbym osiąść raczej w przetykanej różami Blidzie i stamtąd robić wycieczki naokoło.

Ale zato wieczorem nic nie mogło miasta Algeru zastąpić. Domy, pałace, kościoły, meczety — wszystko było uiluminowane tysiącami różnokolorowych lampek (oczywiście dla prezydenta), co na tle nocy robiło wrażenie zaczarowanego grodu z bajki arabskiej.

T I M G A D.

Jeżeli miałem pewne kłopoty z ulokowaniem się w Algerze, to jeszcze trudniej było z niego wyjechać. Spędzono dla prezydenta Arabów z całej północnej Afryki, więc kiedy się uroczystości skończyły, wszystko to chciało jednocześnie wrócić do domu.

Dostałem się przy kasie kolejowej w ryczący potworny tłum, ubrany w burnusy i fezy. Kości trzeszczały mi w stawach, dech zapierał w piersiach... O jakiejś moralnej argumentacji, o perswazjach, prośbie o urzejomość, o spokój, nie było mowy. Kto nie miał dosyć siły fizycznej ten musiał wracać do miasta...

Pociąg pewien czas trzymał się morza, a potem zaczęliśmy objeżdżać Wielką Kabylię, górzystą i dziką część Algeru. Kraj ten nie pozbawiony uroku ma go-

racych wielbicieli, pomiędzy turystami. Wysokie skaliste szczyty, wąwozy, wodospady, zielone doliny, a na nich gęsto porosłe dęby, jesiony i cedry, ku południowi zaś terebinty i karłowate palmy, wśród trawy fiołki alpejskie — oto część pejzażu Kabylii.

Z pomiędzy dzikich zwierząt, za czasów Bombonnel'a, były tam pantery, jeszcze dawniej lwy, dziś zostały zaledwie szakale i małpy, a w powietrzu płowe sępy i rude orły.

Klimat w tych stronach musi być zdrowy, jeżeli Kabyliowie, mieszkający w białych domkach z czerwonymi dachami, pomimo trudnych warunków bytowania wśród skał rodzimych, dochodzą do stu lat życia.

W Beni Mansour spotkał nas deszcz. Jestto miasteczko, leżące w pięknym otoczeniu u stóp najwyższego szczytu Wielkiej Kabylii, Lalla Khadidja. (2,308). Góra ta ma kształt wielkiej piramidy i słynie z rosnących na niej cedrów.

Cedry tutejsze różnią się bardzo od libańskich i należą nawet do zupełnie innej rodziny botanicznej (Cupressaceae). Nie dochodzą też do takiej wysokości, jak tamte. Ich żywicy (resina sandaraca) Egipcjanie używali do balsamowania mumji.

Przyjechaliśmy do sławnego Bordj Bou Arreridj. W tej okolicy zaczęło się powstanie przeciwko Francuzom podczas wojny pruskiej 1871 r.

Wzięcie do niewoli Napoleona III i przewrót polityczny we Francji, wywołały pewne zamieszanie w tutejszej administracji krajowej. Nawet europejska ludność Algeru była podminowana.

Mahometan mocno podrażnił dekret Crémieux o przyznaniu afrykańskim Żydom obywatelstwa francuskiego. Dość, że basz-aga Mokrani ogłosił wojnę świętą przeciwko giaurom.

(D. c. n.)

Ks. T. R.

WŁADYSŁAWA WASILEWSKA.

NOWENNA

(NOVELA).

(Dokończenie.)

Kiedy Stefan, przecząc wszystkim moim obawom i lustrum, wciągał mnie znowu w tryby towarzyskiego życia — wymawiałam się zawsze zbyt wielką miłością do naszej jedynaczki, abym ją mogła odstępować na całe wieczory, lub noce. Podczas kiedy najwięcej cierpiała moja ambicja dawnej ozdoby salonów i strojnisi, udawałam największą miłość do dziecka. Odtąd to, tak, odtąd zaczęła we mnie rosnać podstępna niechęć do Stefana, do świata, do Boga samego — wszystko za to biedne maleństwo, Halinkę, która wtedy jeszcze w kołysce, nic nie rozumiejąc i nie podejrzewając, z taką ufnością wyciągała do mnie rączki! Nawet później, kiedy Halinka umiała już chodzić, była grzeczniutka zawsze i spokojna i możnaby ją było zostawić przy służącej w domu — unikałam tego. Zaczęłam, nie wiadomo poco, szyć sobie sama wieczorami bieliznę, później całe suknie, wreszcie zaczęłam sobie robić kapelusze (przedtem kupiwszy drogi model) — to była manja na wieczory. W dzień zaharowywałam się ze sługą przy sprzątaniu, nie chciałam wziąć dłuższy czas kucharki, uwzięłam się na oszczędności nikomu nie potrzebne, na domowe rachunki, na samowystarczalność, smażenie, pieczenie i marynowanie po to, żeby zawsze krytykować i zawsze narzekać, że dotąd nic nie potrafię, że wszystko marnuję i wreszcie — że rujnuję męża. A ten mąż przyglądał się temu wszystkiemu najpierw z uśmiechem, później z pobłażaniem (jakie to irytujące!), następnie z politowaniem, a już ostatecznie — z żalem... Do tej pory trwa ten „żał“, a raczej nieporozumienie...

Jedno tylko wiem napewno. Kiedy z kolei Bob miał przyjść na świat — pretensje moje do tegoż świata unormowały się o tyle, że... nie potrzebowałam go już wcale! Zjawienie się Boba na horyzoncie naszej sympialni dokonało ostatecznego przewrotu, a raczej — mojego odwrotu... Poza nim, jego pieluszkami, jego oddechem równym czy nierównym, ważeniem i gaworzeniem — przestało mnie cośkolwiek interesować. W pierwszym rzędzie, naturalnie, mój mąż... Jak to się jednak stało?... Nie wiem, nie wiem, ale całej winy na siebie także brać nie mogę. Muszą ją dzielić ze mną także nasze dzieci. Naprzykład dzisiaj, także zrobiliśmy we troje: ja, Halinka i Bob — coś nie tak, jak sobie życzył Stefan. — Moje środy, które od lat poświęcam „dla idei“ i stawiam się systematycznie na zebraniach instytucji dobroczynnej — dotąd były nie naruszane. Dzisiaj jednakże, po raz pierwszy, Stefan chciał mi przeszkodzić. Dlaczego dzisiaj, a nie innego dnia chciał wybrać ze mną materiał na garnitur — nie chcę się nawet dowiadywać, bo napewno dowiódłby mi wkońcu jakichś istotnych powodów. Nigdy nie robił mi nic wyraźnie na złość, ale ponieważ uważał, że ja powinnam mu w tym wypadku ustąpić — ja, odwrotnie, conajmniej przez godzinę uważałam, że to on mnie powinien ustąpić.

Była to już wyraźna sprzeczka. Halinka zajrzała wylekniona przez drzwi do pokoju, ale najwięcej mi

szkoda, że zbudziłam Boba z jego cudownego snu. Usypianie nanowo uśmierzyło we mnie wzbierający nieco bunt, a przedewszystkiem zajęło tyle czasu, że zarówno na garnitur, jak i na zebranie było już zapóźno. Z tego, jak wyżej, doszłam do wniosku, że nawet te niewinne zebrania z dobroczynnymi paniami — nie są dla mnie. Mąż i dzieci zabierają mi absolutnie wszystkie godziny tygodnia i życia!

Po tem wszystkim Stefan „zaszył się“ w swoim gabinecie, jak w niedostępnej kniei — było to przecież równoznaczne, gdyż nie przestąpiłabym tego progu za nic, aby go przeprosić! Zdaje mi się jednak, że wślizgnęła się tam później Halinka... Ona ma takie zacne serduszko... Dzieci mają podobno tyle intuicji! Może ona czuła, że ja naprawdę nie miałam racji i powinnam była ustąpić...

C z w a r t e k.

Tylko parę słów, takich najkonieczniejszych, bo do prawdy, życie dostarcza czasem niespodzianek!

Wczoraj po tej całej kłótni położyłam się rozbita. Na szczęście mały spał całą noc dobrze i wstałam dosyć ochoczo — śmiesznie to powiedzieć — ale ochoczo... do wielkiego prania. Z prawdziwym zadowoleniem skonstatowałam po zerwaniu się z łóżka, że praczka już się rozsiała w kuchni i czeka, że wszelkie przygotowania już wrą, że Marja nareszcie ma z kim gadać i że kawa, pomimo wszystkie radjony, wody i mydliny, gotuje się na śniadanie normalnie.

Siadamy do śniadania i oto — zaczynają się niespodzianki. Stefan zbliża się do mnie, bierze mnie za rękę i mówi, żywcem te same, historyczne słowa:

— Zochno, puśćmy to wszystko w niepamięć.. czy dobrze?...

Zanim zdążyłam się nadaśać — zarumieniłam się... Tak dawno! Boże, kiedy to już było, kiedy ostatni raz zarumieniłam się z zakłopotania...

— Ależ tak, Stefanie, tylko... — przerwał mi, całując mnie poprostu jak warjat.

— Zgoda na wszystko, na wszystkie „ale“ — słyszysz?

I co ja miałam robić? Tem więcej, że literalnie nie wiedziałam, jakie to ja chciałam mieć przed chwilą zastrzeżenie... Dawno już tak skrupulatnie nie oddałam mu wszystkich pocałunków i wreszcie odpowiedziałam „słyszę“, to znaczy kapituluję, zgadzam się na wszystko, przyznaję mu rację na ślepo, na ślepo...

Kawa ta, naturalnie, nie obesła się później bez łez, bo kiedy wróciłam do stołu, odprowadziwszy go przedtem do drzwi — nie mogłam pohamować łkania... Tym razem była to prawdziwa rozkosz tak płakać z byle czego, z byle głupiego, dosyć miłego, śniadania... Długo nie mogłam sobie jednak pozwolić, bo pranie, ogromne pranie (wszystkie firanki, kapy i obrusy) czekało na mnie niecierpliwie w kuchni. Zerwałam się: wydawałam polecenia, osobiście wrzucałam bieliznę do balji,

strofowałam, uczyłam, poganiałam, lazałam nie wiem poco (świeżo zaondulowana) w samą parę, zdawałoby się całą duszę wpakowałam razem z obrusami do kotła — ale myśl moja krążyła ciągle koło jednego wkółko. „Jednakże Stefan mnie jeszcze kocha“... „Stefan mnie chyba kocha jeszcze“?...

I z nadmiaru czułości w sercu — chciałam koniecznie w tej chwili zrobić coś dobrego. Nie wiedziałam co, komu, jak, ale kiedy Halinka weszła, żeby się ze mną przywitać na dzień dobry, z dumą pokazując mi swoje stare lalczysko, wczoraj podobno uczesane przez Stefka (kiedy oni to zrobili?) — przypomniałam sobie daną jej przedwczoraj obietnicę i zatelefonowałam do Stefana. Powiedziałam mu, gdzie widziałam ładną lalkę w góralskim stroju i prosiłam, żeby przyniósł, wracając do domu. Zauważyłam, że Stefan szczególnie się ucieszył, bodaj mi dziękował — to najpyszniejsze! — że tak pamiętam o „naszej drogiej, małej dziewczynce“!

Dobre sobie! On mi dziękuje, jakby to była moja szczególniejsza laska. Czyż nie mam najświętszego obowiązku pamiętać tylko o nich dwojgu — dziewczynce i chłopczyku?... Ten pan, naprawdę, coś mi się zaczyna niepodobać. Nieprawda — zaczyna mi się podobać na nowo!

A wobec tego — temwięcej muszę go pilnować! Tak szczęśliwie złożyły się okoliczności, że panna Janina, sama będzie wolała, jeżeli lekcje przeniesie się na rano...

P i a t e k.

Hm, znów taki miły dzień! Jeśli tak pójdzie dalej — będę poprostu szczęśliwa. Teraz tylko zastanowić się dobrze — dlaczego przedtem było źle?... Zdawałoby się, że mogłoby wtedy nie dojść aż do sprzeczki, gdybym od razu ustąpiła. A ja nie ustąpiłam, sprzeczka się zaostrzyła i co? — on mnie przeprosił! Jak to rozumieć na przyszłość? Stefan zmienił się prawie nagle i to, że on stał się inny, musiało, prawdopodobnie, zmienić mnie... Aha, więc to Stefan jest wszystkim winien, żeśmy się przestali kochać — naturalnie, to Stefan! Oh, jak to dobrze, bo jak sobie pomyślę, że to ja, ja sama mogłabym psuć taką niezwykłą harmonję, jaka właściwie powinny być zawsze u nas — uważałabym się prawie za zbrodniarkę! Stefanowi o tem nie powiem, nie będę mu nic przypominać, najwidoczniej on sam chce tego, powiedział mi przecież wtedy: „puśćmy to wszystko w niepamięć“... Ach, wy mężczyźni, mężczyźni! Wypominał mi zawsze brak wytrwałości (od tego wszystko się zaczęło), a dzisiaj sam nie dał mi dopilnować płókania w kuchni, żeby z nim pójść do kina. Przypomniałam mu więc, ale bardzo łagodnie, że przedewszystkiem trzeba wszystko d o k o ń c z y ć... Nietylko rzeczy wielkiej wagi (rozumie się przez to wszystkie rzeczy, które pochodzą od niego, są z nim jakkolwiek związane), ale i pranie, głupie pranie też! Rozbawiłam go, śmiał się. Zrobiło mi to wiele przyjemności. O ósmej poszliśmy do kina. Od szeregu lat chodzę już tylko dla samego kina, dzisiaj — poszłam tylko dla niego.

Boże, co się ze mną dzieje?...

S o b o t a.

Kiedy to piszę, uderzam jednocześnie w stół — dzisiaj było jeszcze lepiej niż wczoraj! Taka jakaś radość opanowała mi serce, że nie mieszczę się wprost

w własnej skórce. A propos, czyżby Stefan miał rację, że znowu wyładniałam? On mi to mówił już nie jeden raz od pojawienia się nowego słońca na ziemi — mojego Boba, ale zbyt mnie absorbowało zbieranie wszystkich blasków, promieniujących od kołyski, abym miała zajmować się sobą. Wreszcie dzisiaj obejrzałam się dokładnie ztyłu, zprzodu i zewsząd: tak, on ma rację (według niego, ona ma zawsze rację!) — rzeczywiście, ja wyładniałam! Co tu robić? Możeby gdzieś pójść, coś zobaczyć, kogoś spotkać, wogóle pokazać się... ach, żeby ten Stef, teraz, teraz chciał mnie gdzieś zabrać! Dzieci przecież są już takie duże! Masz ci los! Ja tu o nim, omal jak o dorosłym mężczyźnie, a on wrzeszczy. Idę — nie krzycz tak głośno!...

No, uspokoiłam go. Trochę niecierpliwiłam się nawet, że płacze. Było to bodaj pierwszy raz, ale przecież nie mogłam mu pozwolić — Stefan śpi obok...

N i e d z i e l a.

Idziemy na dancing! Co się Stefanowi stało, tak bardzo mnie namawia! Tyle mi mówi komplementów i poprostu psuje mnie ten nieznośny mężczyzna. Chciałam wytrwać w tej pobożnej służbie na stanowisku żony i matki, schowana od świata — to on sam mi teraz przeszkadza! Nic innego tylko musiałam rzeczywiście wyładnieć!

Ach prawda, muszę to sobie koniecznie zanotować. Kiedy zabierałam Halinkę dziś rano na spacer, nazwałam ją, nie wiem czemu, „biedną i opuszczoną dzieciną“. A wtedy ona z zapalem, którego nie zapomnę, zarzuciła mi ręce na szyję i zaczęła się bronić, że nigdy nie jest opuszczona, bo ja jestem zawsze z niemi! Boże, jakże jestem szczęśliwa dzisiaj, że dzieci swoich nigdy nie opuszczałam dlatego, żeby się samej bawić, a tę małą zaczynam kochać coraz więcej, coraz więcej. Ona nietylko, że jest naprawdę dobra, cicha i serdeczna — jeszcze potrafi być czasem taka „tajemnicza“. Kiedy zapytałam ją w kościele, czy już zmówiła paciorek, powiedziała mi, wspinając się na palce, do ucha:

— Nie bój się, już ja się wymodliłam Tatusz powiedział, że Bozia mnie wysłucha — czy to prawda?...

Chciałam płaczem wybuchnąć w kościele. Tak dobrze wiedziałam, że to prawda, prawda!

A więc — i znów mój mąż ma rację. Wiedział, że to westchnienie najniewinniejszego dziecka o zgodę między rodzicami — Ojciec całej ziemi przyjmie i wysłucha! Ach, wiem, kiedy to się stało, wiem, kiedy musiał o to prosić Halinkę — to było tam, w jego gabinecie, w tej „kniei“, po kłótni o garnitur... A później, żeby dziecku smutne myśli powypędzać z główki — uczesał jej tak pięknie lalkę.

Stefanie — zaczęłam ten dziennik ze słowami skargi, skargi na ciebie — i tak jestem, tak jestem „nie-wytrwała“, że dłużej skarżyć się na ciebie nie mogę, nie chcę, nie mam za co!

Nie piszę już więcej, nie mam czasu — boję się, że nie starczy mi tego dnia, ażeby o wszystkich was troje, najdroższych, należycie się troszczyć, o wszystkim pamiętać i wszystkich — jednakowo kochać.

Ah, zapominałam zupełnie, że mam się ubierać na dancing. Stefan tu zajrzał do pokoju: „Co? Jeszcze się nie ubierasz? Kochanie, a później będzie rozdarta w pościechu pończoszka i wypieki!“

O tak, tak jest zawsze! Stefanie, ty znowu masz rację! Kończę, kończę i — już nigdy nic więcej nie napiszę. Boże, jakie ja mam wypieki!



Fot. Emha 1932.

Coraz się częściej słyszy pytanie, „Co tam jest w tych Laskach, że tak tam ludzie ciągną?”

„Jeżdżą Ci — co szukają“ — brzmi czasami tajemniczo odpowiedź.

Otóż warto się przekonać, co właściwie jest w Laskach i co „ciągnie“ ku nim.

O kilkanaście kilometrów od Warszawy, na skraju puszczy Kampinowskiej, wśród brzozowo-sosnowych lasów i piasków — powstała od lat niewiele osada Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi.

Towarzystwo to zostało założone przez hr. Różę Czacką w 1908 roku w Warszawie, mając za zadanie wszechstronną opiekę, tak zakładową, jak pozakładową, nad wszelkimi kategoriami niewidomych — od niemowlęstwa, aż do późnej starości.

W myśl tych założeń powstaje, w pierwszych zaraz latach istnienia ochronka dla małych niewidomych dzieci, internat dla starszych i szkoła z wykładowym językiem polskim mimo trudności czynionych przez zaborczy rząd rosyjski. Zorganizowano warsztaty i ognisko dla dorosłych oraz przytułek dla staruszek. Zapoczątkowano również bibliotekę i czytelnię dla niewidomych, co wymagało bardzo żmudnej pracy, przepisywania ręcznego całych książek sposobem Braille. W tym celu założono specjalne biuro przepisywania książek tym systemem, przez różnych chętnych i ofiarnych ludzi, co pozwoliło w parę lat zgromadzić kilkadziesiąt tomów.

Hr. Czacka powołuje również do życia Patronat



Dzieci na tarasie.

O LASKACH

OSADZIE DLA OCIEMNIAŁYCH

nad ociemniałymi i ich rodzinami. Członkowie Patronatu odwiedzają ociemniałych, dostarczając im paczki żywnościowe, odzież, opał i w razie konieczności zapomogi pieniężne. Zdolni do pracy niewidomi są zatrudnieni w warsztatach Patronatu, który, prowadząc swą pracę w ciągu 10 lat, stale rozwija swój zakres działania. Obecnie rozciąga opiekę nad kilkudziesięciu osobami, dostarczając im poza opieką czysto materialną, pociechę i radość duchową, przez gromadzenie wszystkich rodzin będących w ewidencji, na Mszę św.; odbywające się co dwa tygodnie w zakładowej kaplicy, udostępnienie wszelkich praktyk religijnych, a następnie w miejscowej świątlicy znajdują cały szereg przyjemności, jak: koncerty, odczyty, pogadanki i t. p. rozrywki. W ciągu dnia otrzymują wszyscy trzykrotnie obfity i bardzo smaczny posiłek.

Od 1918 roku istniejący zakon, Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, utworzony



Gra w kręgle.

przez Matkę Czacką, (która przyjęła imię zakonne Elżbiety i stanęła na jego czele), jest podstawą istnienia Towarzystwa.

Bezinteresowna, najlepszej wartości i intensywności praca całego szeregu sióstr, nierzadko posiadających fachowe akademickie wykształcenie, sprawia — że Towarzystwo mimo bardzo ciężkich warunków materialnych, coraz bardziej rozszerza swą działalność. Najlepszym dowodem tego wprost cudownego wzrastania instytucji — są Laski-Różana.

Na ofiarowanym w 1921 roku pięciomorgowym kawałku ziemi — a w ciągu dziesięciu lat, powiększonym do trzydziestu hektarów, obszarze stanęło osiem budynków mieszkalnych o powierzchni 7.266,38 m. kw., oraz dziewięć budynków gospodarczych, mieszczących oborę, stajnię, chlewy, kurniki, garaż, warsztaty: stolarski, ślusarski, tartak i kuźnię, które służą potrzebom, zwłaszcza wobec ciągłej rozbudowy osiedla. Mały stylowy — drewniany kościółek wieńczy dzieło.

W sprawozdaniu za rok budżetowy 1930-31 czytamy: „...Towarzystwo prowadzi opiekę zamkniętą i otwartą. Korzystają z niej niewidomi wszystkich kategorii w wieku od lat dwóch, aż do śmierci, oraz osoby zagrożone utratą wzroku. Charakter Towarzystwa

RÓŻANEJ

POD WARSZAWĄ.

chrześcijański, lecz z opieki jego mogą korzystać niewidomi wszystkich wyznań...“.

O opiece otwartej mówiliśmy, opisując działalność patronatu. Całodzienna nauka i praca zarobkowa w warsztatach, wszystkich dostępnych dla niewidomych rzemiosł, stanowią opiekę półotwartą. Kompleks zaś, składający się z przedszkola, dwu domów dla dziewcząt i chłopców, 7-mio klasowej szkoły powszechnej z dwoma językami obcymi, warsztaty szkolące zawodowo młodzież uczęszczającą do szkoły oraz starsze dorosłe dziewczęta wraz ze schroniskiem dla nich, wreszcie przytułek dla staruszek, stanowi szeroko pojętą opiekę zamkniętą.

Ostatni spis ludności w dniu 9 grudnia r. ub. wykazał ogólną liczbę osób przebywających w osiedlu 283.

Ideą Matki Czackiej jest stworzenie wielkiego osiedla dla niewidomych, którzyby od dzieciństwa, po-



Najmniejsze pociechy się bawią.

przez wiek młodzieńczy, dojrzały i niedołężny — aż do śmierci mogli w Laskach żyć, przechodząc kolejno przez wszystkie odpowiednie do wieku swego i uzdolnień zakłady, znajdując w każdym z nich najlepsze dla siebie warunki rozwoju pracy i życia wogóle.

Powrót do domów rodzinnych — wychowanków szkół w Laskach nie jest wykluczony. Nawet głęboka myśl wychowawcza każe kierownictwu zakładu wysyłać na wakacje i święta dzieci do rodziców, by nie odbiegły zbyt od sposobu życia i warunków bytu środowisk, z których wyszły.

Lecz przeważnie dzieci mimo, że nie zrywają nici serdecznych uczuć rodzinnych, lgną, tęsknią lub najchętniej pozostają w Laskach.

Nigdzie chyba bowiem nie znajdują tej nadzwyczajnie troskliwej lecz rozumnej opieki, racjonalnej zarazem. Nigdzie mniej nie odczuwają swego kalectwa, jak właśnie w Laskach, nigdzie nie czują się tak bardzo dziećmi bożemi.

Stąd wesołość i pogoda ducha, panująca wśród wszystkich, czy to dzieci maleńkich, czy też starszych dziewcząt i chłopców, jak i też dorosłych, wszyscy oni widzą jasno, mimo braku wzroku, swą przyszłość tutaj na ziemi — jak i potem w żywocie wiecznym.



Kościółek drewniany.

Głęboka, prawdziwa, szczerą wiarą dają ludziom w Laskach będących, tą przedziwną moc i radość przeogromną, obok wielkiej pokory, iście franciszkańskiego ubóstwa.

Niechaj wielki duch świętego Patrona Zakonu czuwa nad Laskami i niechaj sprawi, by stały się oazą promieniejącą i zaprzeczającą przysłowiu mówiącemu, jakoby: „homo homini lupus est“, — lecz niechaj głosz i osiągają powszechne braterstwo w miłowaniu niedoli ludzkiej i Boga.

Nic też dziwnego, że właśnie w Laskach powstanie Dom Rekolekcyjny im. św. Augustyna.

Tam bowiem, gdzie przebywa Duch Boży — tam trzeba szukać ukojenia.

Tam w obliczu dokonywania się codziennego, nieustannie czynnej miłości bliźniego.

„I dlatego fakt, że Dom ten stał w Laskach, siedzibie Zakładu Matki Czackiej, nie jest czemś przypadkowym. W założeniu tej instytucji dla ociemniałych bowiem było — przyjęcie z poddaniem ślepoty fizycznej i ofiarowanie jej za tych, którzy dotknięci są ślepotą duchową. Jest więc tam nagromadzony kapi tał modlitw i ofiar, tak konieczny dla tego rodzaju Domu — gdzie ludzie mają otrzymywać światło i odnajdywać to, co najistotniejsze w życiu.

Patronem Domu jest św. Augustyn, gdyż projekt budowy powstał w Jego roku jubileuszowym, a głównie dlatego, że i On przeszedł przez ciemności niewiary i grzechu i po latach dopiero odnalazł Boga, jak również i dlatego, że umiał, jak nikt inny, przeciwstawić wartość nieiszczalną rzeczy wiecznych — znikomości spraw doczesnych.

Zofja Jaxa Bykowska.



Sala szkolna.

DON JOSE ST. NOARRO.

NAD LĄDEM I MORZEM

Z CYKLU „GOŁĘBICA I JASTRZĘBIE“.

Aeroplan szybował, pławiąc się w słońcu. W kabinnie toczyła się rozmowa, o ile na to pozwalał szum motoru.

Powoli jednak temat wygasał. Obaj podróżni byli nieco wyczerpani przeżyciami poprzedniej nocy. Detektyw zaczął się zagłębiać w rozważanie pewnych szczegółów i okoliczności wyjazdu hr. Amalvi. Miał jakieś niejasne przeczucie, że nie jest wszystko tak proste, jak się napozór wydawało. Obecność tego „ukraińskiego” hrabiego nasuwała mu szereg skojarzeń dotyczących pewnych posunięć międzynarodowych, zmierzających do załatwienia sprawy ukraińskiej.

W planach polityki niemieckiej, sprawa ukraińska oddawna już grała wielką rolę. W Berlinie mieściły się przecież organizacje nacjonalistyczne, prowadzące ustawicznie akcję wywrotową i zamachową na terenie Rusi Czerwonej. A wszystko to w widokach utworzenia kiedyś „samoistnej Ukrainy”. Niewątpliwie musiały zachodzić tam jakieś bliższe porozumienia między kierownikami polityki niemieckiej a ukraińskimi działaczami. Może jakieś wyraźne układy polityczne i militarne.

Tem wszystkim musiała się niewątpliwie interesować Amalvi. Kto wie, może nawet doszła do jakichś konkretnych rezultatów. Ba, ale w jaki sposób wiązało się to ze sprawą sfalszowanej noty. Czy ją sfalszowała Amalvi? w interesie czyim, w takim razie? Nota przecież mówiła o ustępstwach ze strony Polski na rzecz Niemiec! Co za interes mogły mieć w tem wszystkim Sowiety, by puszczać w świat podobną pogłoskę.

Dżems był w kropce.

Labirynt wątpliwości i podejrzeń gmatwał się coraz bardziej.

— Wie pan — zwrócił się do hrabiego Zawuckiego — w miarę, jak się poczynamy zbliżać do celu naszej podróży, coraz mniej z całej sprawy rozumiem. Sowiecki szpieg puszcza enuncjacje w interesie Niemiec i ucieka do Londynu, zamiast do Moskwy czy Berlina. To jest wprost niesamowite.

— Cierpliwości kolego — zaśmiał się hrabia — trafimy zapewne i tam Mam przeczucie, że to wszystko jest dopiero początkiem grubszej afery.

W ten sposób rozmowa znów zesłała na konkretniejszy grunt.

Wkrótce zamajaczył w mgłach Paryż.

Opadli na lotnisko w Bourget, by zaopatrzyć się w benzynę. Od obsługi lotniska dowiedzieli się, że przed trzema godzinami zatrzymał się aeroplan myśliwski, lecący również z Genewy. Wziął benzynę, dokonał jakiejś małej naprawy w motorze i poleciał w kierunku Hawru.

— To oni! — skonstratował Dżems.

— A nie było tam kobiety? — zapytał Zawucki.

— Nie zauważyliśmy.

Nasi przyjaciele wsiedli do aparatu i wznieśli się w powietrze.

Już przeszło godzinę trwała jazda, gdy nagle zaczął stukać aparat radiotelegraficzny, umieszczony w aeroplanie.

— To Genewa nadaje — rzekł Dżems. — Umówiłem się z prezydym policji, że mi zakomunikują ważniejsze informacje.

— Zobaczmy co zaszło! — dorzucił hrabia.

— Według zdobytych przez nas informacji w Genewie grasowała przelotnie grupa szpiegów niemieckich. Jest przypuszczenie, że jednak nad ranem odlecieli dwoma aeroplanami — na południe...

— Brawo, brawo! — zawołał Dżems — policja genewska spisuje się przyzwoicie. Łatwo wywęszy trop, inna rzecz, że sfalszowany. Do nas należy teraz wyciągnięcie stąd konsekwencji.

— Jakich? — wtrącił hrabia. — To wszystko wydaje mi się ogromnie zagmatwane. Co znaczy ta „grupa szpiegów niemieckich“.

— To bardzo proste. Obok Amalvi, kto wie, czy w bardzo bliskim z nią związku, musieli działać jacyś wysłannicy Berlina.

— Czy pan sądzi, że Amalvi służy dwom panom?

— Ja nic nie sądzę — odparł detektyw — ja tylko zestawiam fakty.

— Nic nie rozumiem z tego wszystkiego — rzekł Zawucki.

— I ja jeszcze nie wszystko. Przypuszczam jednak, że to współdziałanie nie koniecznie musi wynikać z porozumienia, może być właśnie owocem nieporozumienia.

— Jak pan to pojmuje?

— Znaczy to, że przedmiot zabiegów Amalvi i tych Niemców jest ten sam, jedynie pobudki i cele działania są różne. Zaryzykowałbym twierdzenie, że jesteśmy świadkami pojedynku szpiegów, którzy wydzierają sobie tę samą zdobycz.

— Ale co?

— To właśnie musimy zbadać. Kto wie, czy nie jest to rzecz, dotycząca pańskiej ojczyzny.

Aeroplan tymczasem szybował już nad kanałem La Manche.

— Musimy się teraz zastanowić, gdzie szukać naszych gości genewskich.

— Przypuszczam, że polecili wprost na Londyn. Papiery niewątpliwie mieli w porządku.

— No tak — rzekł Dżems — ale, jak pan widzi, policja genewska alarmuje świat swym komunikatem.

— W którym mowa, że... lecą na południe.

— Na nic.

— Ja obawiam się o co innego — wykrzyknął nagle hrabia, czy ta podróż nie jest groźna dla Anny, chciałem powiedzieć dla Amalvi. I jakby jakąś niewidzialną siłą szarpnięty, pochylił się ku oknu kabiny, szukając czegoś w pobliżu.

— Co się z panem dzieje? — rzekł Dżems.

— Mam przecucie, że hrabinę spotkało jakieś nie-szczęście. Niech pan każe pilotowi jechać niżej nad powierzchnią morza.

Samolot obniżył swój bieg. Zawucki z natężoną uwagą śledził błękit a potem powierzchnię morza, które, po burzy ubiegłej nocy, szkiło się obecnie w świetle słońca nienaganna, jasną taflą.

Spokojnemu Anglikowi udzielił się też nastrój przyjaciela. Zaczął badawczo spoglądać na morze.

— Patrz pan! — wykrzyknął nagle hrabia. — Tam na prawo coś widać.

— To już czernieje linja brzegu.

— Ale bliżej, bliżej, jakiś ciemny punkt odcina się na błyszczącej tafli wody.

Aeroplan skierował się w tę stronę.

Przyjaciele z natężeniem skierowali wzrok w tajemniczy punkt na oceanie.

— Na Boga! To ona! — wykrzyknął Zawucki.

— Ale skąd — uspokajał go Dżems.

— To napewno tonący aeroplan.

— Równie dobrze może być wywrócona łódź żaglowa, którą na morze uniosła wczorajsza burza.

Aeroplan tymczasem zniżył lot. Ponad wszelką wątpliwość widać już było na falach chwiejający się szczyłek samolotu. Na jednym z płatów leżała jakaś postać w kombinacji sportowej.

— To ona! — krzyknął Zawucki.

— Nie mogę tego powiedzieć — odparł flegmatycznie Dżems.

— Ja to czuję! — dorzucił hrabia. Musimy jej pomóc.

— Ba, ale jak? Niestety nasz aparat nie jest hydroplanem.

— Muszę się tam dostać za wszelką cenę — wołał podekscytowany hrabia. — Muszę ją ratować.

— Coś trzeba poradzić! — dorzucił bardziej zrównoważony detektyw. — Polecimy do brzegu i sprowadzimy motorówkę.

— Może być zapóźno. Ta łupina ledwie trzyma się na wodzie.

— Mam pomysł! — zawołał hrabia. Przy pomocy spadochronu skoczę w dół. Następnie panowie rzucicie mi linę i przyholujemy rozbitka do brzegu.

— A jak spadochron wciągnie pana w wodę. Zamiast jednego trupa będą dwa. Lina holownicza też może się urwać. Nie mówiąc o tem, że przy tych ewolucjach nasz aparat fiknie kozła i siadzie na wodę — rozważał trzeźwy Anglik.

— Pan jest czarnowidzem i przewiduje wszystko najgorsze.

— Trzeba być ostrożnym.

— Co do spadochronu. Wezmę nóż i w chwili, gdy będę „wodował“ odetnę sznury. No a reszta musi się udać.

— Hrabia umie pływać? — zapytał Dżems, bo przecież nie ma się co lądzić, że nie wylądjuje pan wprost u gondoli swej bogdanki.

— Wystarczy! — odparł niedbale Zawucki.

— Więc dobrze! zaczynamy. Jedna jeszcze tylko kwestja. Skąd wiatr wieje! — wtrącił Anglik.

— Po co to?

— Musimy obliczyć, jak daleko pana znieśie prąd wiatru.

Wreszcie Zawucki stanął na skrzydle, szykując się do skoku. Aeroplan szybował wolno na wysokości jakieś sto metrów.

Jak kamień rzucił się hrabia w próżnię.

Dżems, zwykle spokojny, ze wzruszeniem śledził go chwilowo migającego nogami bezradnie w powietrzu. Wreszcie spadochron rozwinął się i zaczął dość równomiernie opadać w linii prostej.

Zawucki badawczo spoglądał ku wodzie. Oto za chwilę miał go wchłonać płynny żywioł. Do rozbitego kadłuba wypadnie popłynąć ze 30 metrów; czy zdoła to wykonać w ciężkim kostjumie? Ciało nożem, lecz mocne sznury nie tak łatwo ustępowały. Jeszcze jeden cios! Westchnienie ulgi:

— Nareszcie!

Zanurzył się w wodzie. Zdrętwiałe członki z trudem się poruszały. Nabrał w piersi powietrza. I sprężystymi, ale oszczędniemi rzutami popłynął do rozbitego aeroplanu. Miał do przebycia conajmniej osiemdziesiąt metrów lodowato-zimnej wody... A tu każdy metr pochłaniał żarłocznie jego siły, nadwątlone tyłoma przeżyciami i wzruszeniami.

— Raz, dwa, trzy... — zaczął liczyć w myśli, by podtrzymać słabnący rytm wysiłku.

— Już... już... już...

Zamajaczył wreszcie przed omglonym jego wzrokiem kadłub, o który z pluskiem obijała się woda. Jeszcze kilka rzutów, jeszcze jedno sprężenie nerwów i woli, szarpiącej się z przemocą śmiertelnej trwogi..

— Są cmentarze, do którychli nie wchodzi się przez bramę — pomyślał na poły ironicznie, na poły melancholijnie, wspominając ranną rozmowę. Utopię się, jak komar w śmietanie.

Wreszcie poczuł pod ręką coś twardego.

— Nareszcie — westchnął.

Chwycił się mocno i chwilę zamarł w bezruchu, wypoczywając.

Nad głową usłyszał warkot aeroplanu. To jego przyjaciele krążyli nad nim.

Wreszcie zaczął się ostrożnie wspinać po skrzydle, starając się nie przechylić aeroplanu, co mogło grozić jego zatonięciem.

Po chwili znalazł się przy postaci, leżącej w bezruchu — śmierci czy omdlenia? — Z pod kasku wypływał jasny lok.

— Tak to ona! Boże dobrotliwy, dzięki Ci! — westchnął.

Tymczasem znów nad głową rozległ się szum motoru.

Wstał i dał znak ręką.

Samolot zawrócił i zaczął się zbliżać w prostej linii, lecąc nie wyżej niż jakieś dwadzieścia metrów. W pewnej chwili wyrzucono linę, która zaczęła się ciągnąć po wodzie. Na końcu była mała kotwiczka.

Strzaskany kadłub drgnął i zaczął sunąć po wodzie.

— Brawo, brawo! — krzyknął hrabia. Tak przebiegli ze 200 metrów.

Niestety przedwczesna była to radość.

Wskutek gwałtownego napięcia lina się zerwała.

— Niestety...

(D. c. n.)

OSOBLIWI „PODATNICY“

Anglja utrzymuje do dnia dzisiejszego wiele instytucyj tradycyjnych, które niewątpliwie kosztują albo skarb państwa, albo szkatułę królewską, ale dlatego, że nikt nie chce walczyć z niemi, istnieją. Oczywiście, o ile ubożenie kraju iść będzie dalej takim tempem jak po wojnie, za kilkadziesiąt lat owe curiosa znikną.

Do dziedziny curiosów zaliczyć można chyba fakt, iż książę Atollu, najbogatszy (zdaje się) Anglik płaci za używanie majątku wartości 40 milionów dolarów — jedną białą różę w roku, królowi. Posiada on obok pałacu królewskiego w Londynie zamek o 42 wielkich pokojach i park o rozmiarach 225 000 ha oceniony na 40 milionów dolarów. Posiada oczywiście jeszcze całą masę innych obiektów, ale te są już owocem starzeń jego pradziadów i dziadów. Zamek natomiast i precudny park są podarunkiem ofiarowanym jego pradziadowi przez króla w zamian za

oświadczenie się przeciwko Stuartom, pretendującym również do korony angielskiej. Jedynym znakiem, iż dumni Murrayowie, bo z nich wzięcie się książę Atollu, uznawać będą zawsze władzę królów, było zobowiązanie, iż corocznie, w formie podatku składać będą królowi i białą różę. W roku bieżącym książę Atollu wpłacił królowi bardzo punktualnie nakazany „podatek“.

Rodzina Wellingtonów „wplaca“ do dziś, jako lenno podatkowe od wspaniałego zamku darowanego jej za czasów napoleońskich w Hampshire, i kolorową chorągiew. Ma ona świadczyć o zwycięstwie odniesionem nad flotą francuską przez Wellingtona. Także i rodzina Marlboroughów, której przodek zasłużył się w walkach z flotą francuską, otrzymał bogate dotacje z tym jedynym warunkiem, iż jako „czynsz“ składać ma corocznie do skarbcza królewskiego ramię (mniejszą od wellingtońskiej) chorągiewkę.

Właściciel dóbr Brashfeld w okręgu Midlothian obowiązany jest z tytułu dotacji królewskiej, podawać królowi wodę do mycia rąk, o ile ten kiedyś pojawi się w obrębie jego dóbr.

Baron Jerzy Clarke, obowiązany jest z samego tytułu, trzy razy zagrać na trąbce, gdy król zjawi się kiedyś na polowaniu w jego dobrach.

Earl of Derby dostarczać ma królowi tytułem podatku po dwa sokoły.

Szkot „Laird of Fouls“ jest obowiązany przysyłać corocznie wiadro śniegu do zamku królewskiego w Edynburgu. Nawiasem mówiąc, lordowi temu wydarzył się przed kilku laty przykry wypadek. Wobec tego, nie mógł zapłacić swego podatku. Król na szczęście nie był zbyt wymagający, i nie naciskał biedaka. Sprytny Szkot zaasekurował się przeciwko skutkom z powodu niespełnienia „obowiązku“ i, następnie zimy dostarczył aż z wiadra śniegu.

HUMOR

BOI SIĘ?

Babcia i mały wnuczek stoi przed sklepem kuśnierza. Na wystawie ogromny niedźwiedź z otwartą paszczą.

Wnuczek — Babciu, czy ty się boisz, bo ja jeszcze nie?

OKROPNY KRAJ.

— Jak ci się powodziło w Ameryce?

— Wstrętny kraj! Kto tam nie pracuje, może z głodu zginąć...

KTO TEMU WINIEN?

Nauczycielka mówi do dziewczynki:

— Wstydz się, Marysiu, jak ja byłam w twoim wieku, to daleko lepiej czytałam, jak ty.

— Bo zapewne pani — odrzekła Marysia — miał lepszą nauczycielkę jak ja.

LOKOMOTYWA NA DWU NOGACH.

Babcia: — Jedz moje dziecko, jedz.

Mała Ela — Kiedy mi już nie idzie. Babcia pcha we mnie, jak węgiel w lokomotywę.

ZE SZKOŁY.

Nauczyciel: — powiedz mi, Karolku, dlaczego tam to drzewo „płaczącą wierzbą“ nazywają?

Karol: Ponieważ przy szkole rośnie a pan nauczyciel każdodziennie świeżą różgę z niej sobie urznie!

ZŁODZIEJ Z MIŁOŚCI.

Sędzia: — A więc schwytano pana na gorącym uczynku, bo w chwili, gdy pan usiłował porwać sakiewkę tej pani.

— Oskarżony: — Słusznie, panie sędzio, ale uczyniłem to, aby.. zdobyć adres tej pani, bo w sercu mem rozdziło się nieznanne mi dotąd uczucie miłości i to zaraz od pierwszego wejścia.

PRZYTOMNOŚĆ UMYŚLU.

Nauczyciel: — Jak się nazywa człowiek, który ustawicznie mówi choć nikt nie ma ochoty go słuchać?

Uczeń: — Nauczyciel.

WARTOŚĆ ZERA.

— Czy pan wie, co pański przyszy zięć twierdzi o panu? Że pan jest zerem w domu.

— No, no, no, to zero będzie miało dla niego wartość, gdy ja mu go odciągnę z tyłu od jego posagu.

ROZMAITOŚCI

Walka z pornografią w Ameryce.

W Nowym Jorku odbył się niedawno zjazd z górą 100 duchownych różnych wyznań, mających na celu walkę z pornografią we wszystkich jej postaciach. Wynikiem zjazdu było zawiązanie „Komitetu obywatelskiego obyczajności publicznej“, który postawił sobie za zadanie przedewszystkiem walkę z niemoralnymi czasopismami, znanymi również w Europie, zwłaszcza w Niemczech, pod nazwą różnych „Magazynów“.

Przykry epitet. — Profesor jednego z zakładów naukowych w Budapeszcie przezwiał w gniewie jednego z uczniów Leninem i Trockim. Ojciec studenta zaskarżył profesora o obrazę czci jego syna. Sąd skazał profesora na 500 pengö kary pieniężnej, wyrażając opinię, iż nadawanie komukolwiek nazwisk Lenina i Trockiego równa się obrazie honoru.

Co to kosztuje? — Wielka konferencja rozbrojeniowa, zwołana do Genewy, między innymi obliczyła, że na same zbrojenia cały świat wydaje 200 milionów zł. dziennie. — Zbrojenia są wielkim ciężarem. Obyż udało się światu zmniejszyć go choć trochę!

Grobowiec Cz. St. B. O.
 Stan. Papczyńskiego
 w Włoczniku w Górze.
 Kanclerz Brünning
 przemawia za wyboem
 Hindenburga na prezy-
 denta (4 zdjęcia film.)

ZE ŚWIATA

Przekazanie małego domku
 dla księż Elżbiety, córki ks.
 Jorku (Anglja).
 W Dublinie wznoszą wielki
 ołtarz polowy w związku z
 kongresem eucharystycznym.
 Zyliszcza w Szanghaju
 Prez. Hindenburg w gabinecie
 Praktykanci dentystyczni
 uczą się na drewn. manekinie.
 Zegar w całości ze szkła.



Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI

Z SALONU SZTUKI.

Konrad Krzyżanowski był wielkim mistrzem portretu, nie tylko dla zalet czysto malarskich swej twórczości. Niewątpliwie z prawdziwą wirtuozeryjną harmonizuje on barwy i zespała tło z treścią obrazu. To byłoby już wiele.

Lecz mistrzostwo Krzyżanowskiego jest o wiele wyższej rangi. Daje on w swych portretach prawdę duchową, odsłania tajemnicę wewnętrznej treści osoby portretowanej, ujmuje jej charakter i psychofizyczną postać w pewien symbolizujący ją gest, grymas, spływ harmonijny kształtu i barwy. Gdy bardzo obiecujący „Witkacy” jako uzupełnienie swych portretów wypisuje na marginesie jakąś chemiczną formułę, mająca dopowiadać to, co czego brakuje w fakturze portretu, Krzyżanowski nie potrzebuje się uciekać do takich pseudonaukowych czy pseudoliterackich uzupełnień.

Świątynia sztuki malarskiej, nie znosi obcych bogów. Krzyżanowski rozumie to doskonale.

To też środkami czysto malarskimi, wydobywa na jak to, co chce powiedzieć w imieniu swem własnem, czy w imieniu portretowanej osoby.

Oto na wielkiej płaszczyźnie płótna, majaczy upiorna twarz kobieca. Reszta tła zarzucona ciemno, zapowiada jakby wydłużony kształt ciała, spoczywającego, a może płynącego przez powietrze...

W tym obrazie czai się coś nieuchwytnego. Jego niedopowiedzenia i szkicowość doskonale odpowiada szkicowości tego istnienia ludzkiego, które mistrz utrwalił genialną intuicją pędzla. Trzeba być poetą, by to zrozumieć, Krzyżanowski jest poetą. o jakimś isticie szekspirowskim rozmachu: od tragicznego nastroju, fizycznego pasażu, przez dramat ku grotesce.

Jego zjawy portretowe są tak nie-realne, jak na dzieło sztuki czystej przystało, a jednocześnie dość realne, by pozwoliły ustalić podobieństwo portretowe. Słowem jakby fragmenty, wyrwane z szekspirowskiego „Snu nocy letniej”, gdzie każdy jest sobą a także i czemś innym, gdzie złuda i rzeczywistość przeplata się w małżeńskie harmonii, jak w bajce, i jak w życiu. Krzyżanowski wydobywa na jaw aktem niezwykłego jasnowidzenia, podświadomą treść ludzkiego ja, to, co w nim najtajniej-

sze. — przez to najbardziej indywidualne

W portretach Krzyżanowskiego maska twarzy, ma stygmat odrębności charakterologicznej. Czy to będzie jakieś pogardliwe zaciśnięcie ust i wojownicze w związku z tem wysunięcie podbródka, czy lubieżne rozchylenie nakarminowanych warg, mówiących o dość płaskiej egzystencji duchowej, czy pawio wyciągnięta szyja, ozdobiona małą główką w hełmie zimnych, odpychających włosów, czy pochYLENIE postaci, wspartej na ręce wysuniętej łokciem ku widzowi.

W półuśmiechu tej kobiety jest coś wyzywającego, zdobywczego...

Należy podziwiać umiar artysty, który podkreślając pewną dominantę w charakterze portretowanej osoby, nie przekracza granicy płaskiej karykatury.

Nie uchronił się tej ostateczności Kulisiewicz w swym zbiorze portretów dziecięcych. Są to wprost studja nad matkowatością i rachityzmem. Niedorozwój fizyczny i umysłowy jest tu jaskrawo prześwietlony ołówkiem artysty, który z dziwną pasją podpatruje różne odruchy i przejawy zaćmionej psychy ludzkiej. Oczywiście nie mamy prawa odmówić artyście możności opowiadania w malarskiej relacji o wynikach swych „studjów psychiatrycznych”, nie możemy jednak nie zaznaczyć, że to nuży i nudzi, że przynajmniej dla nas zawiele w tem wszystkim jest monotoni, za mało zróżniczkowanych indywidualności. Ma się wrażenie, że to ten sam głupkowaty obiekt, podpatrzony w kilkunastu pozach i odruchach swej nieskomplikowanej egzystencji, żywa karykatura ludzka, siedząca gapiotowato, z bezmyślnie wytrzeszczonemi gałami, uśmiechająca się głupkowato i drapiąca z naiwną bezczelnością parszywy czy wszawy łeb. To nawet nie jest wstrząsające, to nie jest odrażające, to jest głęboko irytujące przez swą fałszywą prymitywizację.

Nie wiele tu pomóc mogą analogie z rzeźbami religijnymi zabytków kościelnych, romańskich i gotyckich, które studjował Kulisiewicz. Tam widać jest wyraźnie nieudolność, u niego jest ona sztucznie wprowadzona, jako czynnik pewnej schematyzacji wyrażanej treści.

A trzeba do tego wszystkiego stwierdzić, że Kulisiewicz operuje

bardzo subtelną techniką kolorystyczną, jego tonację barwne są delikatne. Dziwne jest więc, to jego rozmiłowanie w tak mało subtelnej, nie nastrożającej okazji głębszych dociekań, dziedzinie tematów, wyrwanych z atlasu psychiatrycznego i czasami z kalendarzika małego Kazia. W psychice człowieka normalnego, wśród bogactwa szczegółów, ukrywa się lub bywa starannie ukrywana pewna dominantą; wydobyć ją jest wdzięcznym zadaniem portrecisty, w psychice matolka ta cecha jest z irytującą natęczywością wypisania na gębie. Można dać jej monografię malarską, lecz dla inwencji artystycznej jest tu stosunkowo niewiele do zrobienia. To rozlanie zaś na całą twarz, ba na całą postać wpływu danej cechy fizycznej, czyni tę postać monotonna, zamienia w przykry kleks psychograficzny.

Zresztą de gustibus... Pokłoniwszy więc czoła, przed zaletami technicznymi Kulisiewicza, czekać nam jeszcze wypada na objawienie pełni jego artysty.

Wręcz już po linii (vel po linie) jaskrawej karykatury, hasa sobie „Łoża wolnomalarska”. Ich prokurator-ska wnikliwość rozgrzebuje ze zjadliwą uciechą, pasją inkwizytorską, a choćby nawet z Chrystusowem współczuciem, wyłącznie śmietnisko współczesnej kultury.

W tem nagromadzeniu makabrycznych okropieństw jest dużo naiwności i przesady. Życie nie jest znowu tak straszne jak się wolnomalarzowi wydaje. Umieć ukazać w kałuży błota odbłask słońca, to jest dopiero zadanie godne artysty. Wydaje nam się, że rozumie to w każdym razie Kulisiewicz, który wciska przeważnie w ręce swych ofiar klinicznych jakiś kwiatulek, równie rachityczny i mdły, jak one same, ale „zawdy kwiatek”. Przypiąć do kożucha rzeczywistości kwiatek złudy — sztuka to nielada.

Wolnomalarze, panowie Topolski, Kudła, Zielenkiewicz, Nadelmanówna dają Apollinowi solidnego kopniaka, i gdy ze spleaszczonym nosem i pogruchootanemi żebrami spadł już z Olimpu w błoto, dopiero go portretują, obnażając i uwieczniając wszystkie skazy, zmazy, rany ropiejące, cuchnące, sino-czerwone. Ciało owrzodziało, przeżarte trądem, nasycone fioletem salvarsanu i smrodliwym alkoholem oraz uciechami podrzędnego lupanaru.



NA FALACH CZASU

Życie i śmierć Ivara Kreugera, króla zapalek, ma w sobie wiele cech ponurej, tragicznej sagi irlandzkiej. Jest w nim przytem coś typowego dla całej anglosaskiej kultury, która wydała całe legjony zdobywców, rycerzy i władców wszystkich nieomal lądów i krajów świata, która nie wydała jednak, poza jednym może Miltonem, czy kard. Newmanem, żadnego zdobywcy tajników życia nadprzyrodzonego.

Dzieje wikingów, ich podbojów i przewag, to jednak są wszystko fragmenty na marginesie „Raju utraczonego“, do którego nie znajdują oni drogi.

Ci zdobywcy z północy są nietylko często „Janami bez ziemi“, gdy przekorne życie wydrze im z rąk owoce wszystkich trudów, ale są najczęściej „ludźmi bez nieba“. Głowy ich, chociaż pysznie dzwigane, nie wyrastają wiele wyżej ponad 1.83 m. przeciętnego wzrostu Skandynawów, co jest bardzo wiele, fizycznie biorąc, ale co jest nieskończenie mało wobec wzrostu duchowego takiego świętego biedaczyny z Assyżu, który nasycony jarmarczonym jazgotem życia światowego, zdarł z siebie wszystkie bogate szaty i ozdoby i prawie nagi zjawił się na służbę bożą...

Ivar Kreuger nie umiał sięgnąć wyżej ponad, to prawda, dość rozległe swe posiadłości, przedsiębiorstwa i potężne skarby. Gdy mu zabrakło jakichś tam 120 milj. na zapłacenie terminowych zobowiązań, strzelił sobie w serce. A więc wiemy teraz, ile cenił swoje własne życie ten, który miliony całe rozdawał wszystkim państwom świata, w którego rękach, jak ongiś w rękach króla Midaśa, każdy interes zamieniał się w złote jabłko korzyści.

Cena jest dość wysoka, ale przecież świat zawsze ją może zapłacić.

Inny współczesny Kreugerowi samobójca, właściciel kodaka, Eastman, którego majątek był szacowany na 500 milj. dolarów, pozostawił kartę

ze słowami: „Pracę swoją zakończyłem. Na cóż więc jeszcze czekać?“

Ten nieco wyżej wyrachował sobie wartość swego życia, ale przecież wszystko to leży wciąż jeszcze w granicach doczesności. Jedyne ta waga, jaką przywiązuje człowiek, pamiętający o wieczności, sprawia, że nie rezygnuje on z życia za żadną cenę ziemi.

Ivar Kreuger nie żyje, sprawiono mu nawet dość dyskretny pogrzeb, a fale wywołane jego desperackim strzałem wstrząsają jeszcze dotąd giełdami świata.

Lecz i to się wszystko uspokoi. Wkrótce ludzie załatają w interesach luki, które on wywołał.

I jak ongiś po desperackiej śmierci Karola XII, króla Szwecji, który swemi najazdami spustoszył pół Europy, nie wyłączając Polski, ktoś znów powie: „Oto przedstawienie skończone. idźmy zjeść kolację!“

Echo strzału rewolwerowego nie ma odzwieku w nieśmiertelności. Ludzie, którzy tak zamykają bilans swego życia — mogą wywoływać w nas pełen zdumienia podziw, lecz nie zdobędą naszego szacunku, a tembardziej miłości.

Koncern Mellona, z którym Kreuger współpracował przeboleje ostatecznie straty. Jego 75 miliardów kapitału pozwala na to.

Życie pójdzie dalej.

Przyjrzyjmy się jednak trochę bliżej charakterystycznym cechom działalności Kreugera, którego ktoś nazwał Napoleonem przemysłu.

Zaczyna jako syn właściciela niewielkiego przedsiębiorstwa, a w krótkim względnie przeciągu czasu, staje się najbogatszym człowiekiem w Europie, właścicielem wielu monopolów zapalcanych, przedsiębiorstw telefonicznych, kopalni rudy żelaznej, a nawet kopalni złota, wreszcie dostawcą pożyczek państwowych dla 18 państw. Ogólna suma tych pożyczek, udzielo-

nych państwowo pomiędzy rokiem 1925 a 1931, dochodzi do 8 miliardów franków. Francję wybawia z kłopotów, pożyczając jej 75 milionów dolarów. Niemcom daje 125 milionów dolarów.

Sypał milionami bezkrytycznie, jak dziecko, które bawi się piaskiem.

Św. Augustyn ujrzał raz we śnie dziecię, które do małego dołka przelewało garścią wodę z morza.

— Co robisz dziecię? — zapytał.

— Chcę przelać tu wodę z całego morza.

Podobnie zachowywał się Kreuger.

Jest on przedstawicielem nordyckiego typu, ludzi czynu, którzy nie rozumieją, nie spostrzegają celu ogólniejszego, działają, aby działać, nie oglądając się na konsekwencje.

Ten typ ongiś bardzo wychwalali myśliciele w rodzaju hr. Gobineau czy Stewarta Chamberlaina, którzy zwłaszcza sławili rasę germańską za to, że dostarcza przedstawicieli takiego „czynu“.

Lecz tylko napozór ten „czyn“ jest wartościowym, w rzeczywistości jest to przelewanie wody z oceanu. Człowiek jest tu bezsilny — fizycznie rzecz biorąc. Potknąć się może o lada ziarno, jak potknął się Kreuger o sprzeniewierzone mu przez bankiera Barrault 30 milionów, które mogły choć częściowo uratować sytuację.

Oczywiście są momenty w życiu człowieka czy narodu, kiedy potrzeba jest umiejętności organizowania zewnętrznego życia. Lecz myli się ten, kto mniema, że bez wewnętrznego zorganizowania się można się zorganizować nazewnątrz.

Omylił się Karol XII, omylił się Napoleon, omylił się Kreuger.

Potęga synów północy polega na ich zmyśle organizowania życia praktycznego, ale ten wzrok zwrócony tylko na ziemię jest właśnie ich katastrofalną słabością.

Są momenty, że do takich ludzi życia, zwracają się narody, mówiąc, jak ongiś Słowianie kijowscy: „ziemia nasza jest potężna i obfita, ale porządku w niej niema, przychodźcie rządzić i władać nami“.

I przychodzą, lecz stworzywszy zewnętrzną organizację, nie są w stanie zapewnić jej trwałości, gdyż strona duchowa życia, to co jest właśnie jego cementem, jest im obca.

Tę pozorną potęgę władcy złota przedstawił świetnie Zola, (słusznie zresztą potępiany za niemoralność, w tej kwestji jednak miał rację). W jednej z jego powieści pod tytułem „Pieniądz” — przedstawiony jest finansista, wyrosły ni stąd, ni zowąd na wielkość, która grozi pochłonięciem całego świata finansowego Francji: i nagle, kiedy jego wielkość wydaje się być u szczytu i przeciwnicy chcą przed nim kapitulować, dzieło jego pęka jak bańka mydlana.

Taką bańką mydlaną okazało się także dzieło finansowe słynnego Ivara Kreugera, bańką mydlaną, wielką jak cała ziemia, bo całą kulę ziemską chciała w sobie zmieścić.

Nie pierwszy raz po wojnie świat ma widowisk takiej nagłej kariery finansowej i jeszcze bardziej nagłej katastrofy. Sprawa Kreugera przypomina żywo sprawę wielkiego finansisty i spekulanta belgijskiego Loewensteina, który, kiedy nikt się nie spodziewał jego ruiny, skończył z życiem, wyskakując z aeroplanu.

Nad głowami takich bohaterów przewali się potężna fala oceanu ży-

cia i zatrze ich pamięć. Tylko bowiem wyższością ducha można wznieść się ponad martwe wody życia.

Żadna wieża Babel, żadna góra złota, ani żadna kombinacja trustów i koncernów nie przebije niebios, jeno wołanie duszy, jeno głos sumienia.

Kto oparł się na pieniądzu, ten dla pieniędzy zginie. Ma także i Polska swoich lilipucich konkwistadorów złota i szantażystów. To bankier Kwinto, który przywłaszczył sobie parę milionów, to jubiler Wabia-Wabiński, który roztrwoniał trzysta tysięcy na uciechy i zabawy, to pewna „dama”, posądzona o symulację kradzieży klejnotów, by otrzymać odszkodowanie w kwocie półtora miliona.

Można powiedzieć, że przez świat cały idzie jakaś dzuma, jakiś obłąd chciwości złota.

Oto w Ameryce szajka bandytów kradnie „national baby”, syna słynnego lotnika Lindbergha. Dlaczego? Aby utrzymać 75.000 dolarów odszkodowania.

Kradzieże dzieci w Ameryce stały się zresztą intratnym przedsiębiorstwem. Rocznie kradną w Ameryce około 2.000 dzieci.

Amerykanie gloryfikujący wszelkie, choćby najgłupsze, czy najniegodzniejsze rekordy, gotowi byli nadać patrzeć z pobłażaniem na te podłości.

Każdy zręczny wyczyn budzi podziw głupca.

Aż tu nagle bandyci ośmielili się porwać synka Lindbergha, który jest

„bożyszczem” Stanów Zjednoczonych. Co za potworność?! Zwłaszcza, że policja okazała się tu zupełnie bezsilna.

Najzabawniejsze i najsmutniejsze jest, że tego porwania dokonano dlatego, aby uwolnić słynnego bandytę i przemytnika alkoholu Al Capone.

Bandyta ten zgłosił gotowość odszukania go, o ile wypuszczą go na wolność. Notabene siedzi on w więzieniu nie tyle za swe przestępstwa, ile za fałszywe zeznania podatkowe. W Ameryce bandyci płacą — jak widać — podatki od obrotu... Wesoły kraj.

W Ameryce na wszystkim robi się interesy. Pewien przedsiębiorca lotniczy obwozi za 2 i pół dolara amatorów zobaczenia z lotu ptaka willi Lindbergha z której zostało porwane „baby“.

Odżyła plotka, która krążyła po narodzeniu zaginionego obecnie malca. Wedle tej plotki prawowite dziecko państwa Lindberghów przyszło na świat nieżywe, wskutek podróży aeroplanem przez matkę tuż przed jego narodzeniem, a rodzice, aby ukryć tragedję przed okiem publiczności, która interesowała się każdym nawet drobiazgiem ich dotyczącym, adoptowali inne właśnie tylko co narodzone dziecko. Obecnie dziecko to zwrócono jakby prawowitym rodzicom, symulując jego kradzież.

Nareszcie jednak ozwało się też i sumienie amerykańskie. Kraj rekordów przemysłowych, najpotężniejszej techniki, która jak dotąd bez konkurencji, produkuje przedewszystkiem bezrobotnych, kraj głodu, gdy jednocześnie zbożem pali się w lokomotywach dla podtrzymania jego ceny — wszystko to mógł uważać za przejściowe. Dopiero porwanie dziecka, wielkiego bohatera narodowego, otrzeźwiło Amerykę.

Całkowita bezsilność władz i państwa wobec sprawców tego porwania, to coś, wobec czego nawet najbardziej uparty optymista amerykański dostaje czkawki. Nawet najbardziej zaślepiiony widzi bowiem w tym wypadku, że w samej budowie państwa i społeczeństwa zaczyna brakować jakiegoś bardzo ważnego pierwiastka moralnego, bez którego nawet najsilniejsze państwa są w gruncie rzeczy słabemi.

Stany Zjednoczone czują się skompromitowane sprawą swego „National Baby“. I uczucie to jest z pewnością uzasadnione. Stara Europa wstrząsana tyłoma i takimi konwulsjami, przeciera jednak oczy zdziwiona, bo jakkolwiek widziała ona już tyle, tego



Widok Domu Katolickiego od podwórza; u dołu widać zasklepione sutereny wielkiej sali, której wysokość będzie sięgała do II-go piętra, jak to wskazuje otwór w budynku frontowym.

jeszcze przecie nie widziała. W Europie jest naturalnie podostatkiem handytów, dla których porwanie a nawet ukręcenie złotowłosej główki nie przedstawia żadnych trudności moralnych. Ale żaden kraj europejski nie wyhodował u siebie jeszcze tej gęstej i nieprzeniknionej dżungli ludzkiej, w której mogą utonąć całe szajki bandyckie i to zniknąć bez śladu. Nic dziwnego, przecież w samym Chicago jest 200.000 zarejestrowanych bandytów. Ten fakt właśnie w tym żałosnym wypadku „narodowego bachorka“ jest najbardziej złowieszczym.

Dolar nie okazuje się jednak najlepszym wychowawcą, a kult złotego cielca najlepszą i najbardziej racjonalną religią..

Gdy tak z rąk szantażystów i bandytów przelewają się miliony, a jednocześnie głód dziesiątkuje miliony ludzi, gdy porywa się dzieci, aby za-

robić na tem kilkadziesiąt tysięcy dolarów, musi przez świat buchnąć potężny krzyk; domagamy się ochrony życia i prawa pracy wszystkich ludzi, a nie jak dotąd było, uprzywilejowania bandytów, domagamy się bezpieczeństwa i opieki dla wszystkich dzieci, choćby najskromniejszej rodziny.

Lecz i tu i owdzie w Europie jest źle. Weźmy Hiszpanję.

Groźny wzrost komunizmu wykażał kongres komunistyczny w Sewilli. Propaganda bolszewicka działa głównie przy pomocy pornografii, jedyną sobie młodzież rozwiązłością obyczajów i gloryfikowaniem rozpusty. Procesje wielkanocne przeważnie musiały być zaniechane w obawie przed rozruchami. Gdzieniedzie strzelano do księży i obrazów świętych. Władze nie bronią wcale ludności katolickiej. Księgarnie przepełnione są tłu-

maczeniami dzieł sowieckich. Lekcje rosyjskiego są powszechnie poszukiwane. Wielu Hiszpanów udało się do Moskwy i po powrocie wygłasza odczyty. Władze portugalskie zaniepokojone są agitacją w Hiszpanji za utworzeniem „zjednoczonej iberyjskiej republiki sowieckiej“. B. major Franco wygłosił niezmiernie rewolucyjne przemówienie w Sewilli, nawołując do przewrotu komunistycznego. Anarchiści działają solidarnie z komunistami. Agitacja doprowadza nawet do niebezpiecznego buntu internowanych trędowatych.

Okazuje się, że rząd nie jest w stanie utrzymać licznych szkół jezuitkich (m. in. wyższych z skonfiskowanego mienia. Gmachy jezuickie należą zresztą przeważnie do Episkopatu lub Stolicy Apostolskiej. Szereg lecznic i instytucyj naukowych skazany jest na zagładę.

Bielizna biała jak śnieg

Przewaga Radionu nad innymi samopiorącymi środkami polega na tem, że nadaje bieliźnie śnieżno-biały połysk. Ale najważniejsze jest to, że pranie Radionem odbywa się bez żadnego wysiłku i obawy, że bielizna zostanie zniszczona. Radion usuwa brud bez tarcia i szczotkowania.

Zwracajcie więc uwagę na nazwę Radion, a opłaci się Wam to z pewnością.
Pranie Radionem jest bardzo łatwe.

RADION
sa chroni bieliznę

RP1-32

Wystarczy:

- a rozpuścić w zimnej wodzie
- b gotować 20 minut
- c płókać w gorącej, potem w zimnej wodzie

Z PIŚMIENNICTWA

S. JELEŃSKI: Hallelu Jah! (Al-leluja!) Opowieść ewangeliczna. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Przybliżyć do nas postać Chrystusa... Dać jej wyraz artystyczny. wskrzesić otoczenie, akcesoria scen ewangelicznych, przedstawić je z prawdą historyczną i z prawdą serca wierzącego...

Udało się to S. Jeleńskiemu w jego opowieściach ewangelicznych. Od czasów noweli Sienkiewicza „Pójdźmy za Nim” i „Quo vadis” nie mieliśmy w literaturze naszej książki tak pełnej tchnienia ewangelicznego.

Prawdę historyczną wzięł autor z sumiennych studjów nad życiem Chrystusa Pana, nie wyłączając źródeł najnowszych. Pierwszym owocem tych studjów, popartych szczerem natchnieniem religijnym, było widowisko pasyjne „Syn Boży”, wystawione w teatrze Nowym w Poznaniu. Drugim — książka „Hallelu Jah”!

Przechodzą przed nami postacie Marji i Marty, Łazarza, Nikodema, ksiądz żydowski i Józefa z Arymatei, faryzeuszów i ludu żydowskiego, Apostołów i tych, którym Jezus winy odpuszczał i uzdrawiał.

Dramat zbawienia świata, mękę i zmartwychwstanie Syna Bożego ukazuje nam autor przez pryzmat oczu dwóch młodych Judejczyków: Lii i wskrzeszonego Łazarza. Sceny są żywo kreślone, pełne wysokiego napięcia dramatycznego. Styl bardzo prosty, drga jednak prawdziwym wzruszeniem i czcią.

Wskrzeszenie Łazarza jest wstępem do objawienia świata tajemnicy Zmartwychwstania. Wskrzeszony Łazarz nie chce mówić o tem, co widział w zaświacie — rzuca tylko wyznanie, że tam jest jasność, jasność, jasność...

To polskie ujęcie dramatu Łazarza przypomina nam jakże odmiennie opracowanie tego tematu przez Rosjanina Leonidasa Andrejewa w noweli „Eleazar”. Łazarz Andrejewa wrócił do życia. Ale ci, co go pytają, widzą w jego oczach pustkę i rozpacz nicości poza grobem. I ludzie, ogarnięci zgrozą, opuszczają go. A on sam, wychynawszy z czarnego mroku nicości, grzeje się na słońcu i już nie jest takim, jak inni ludzie.

Albowiem w grobie nie ujrzał zmartwychwstania.

Z nihilizmu rosyjskiego powstał straszliwy chaos. zawalenie się całej kultury wieków.

Z radosnej afirmacji polskiej, afirmacji w duchu Krasieńskiego powstańca — odrodzenie Polski.

Piękną i wzruszającą lekturą jest książka Jeleńskiego. Powinna się znaleźć w rękach wierzących.

A. Zahorska.

WANDA MIŁASZEWSKA: Na cztery wiatry. Powieść. Nakładem Księgarni św. Wojciecha.

Po „Kaczętach” sympatyczna autorka dała nam znowu zagadnienie młodzieży współczesnej, jej życia bezideowego, zmaterializowanego, żadnego uciech, pogrążonego w egoizmie.

Kończąc się jeszcze po świecie typy dawniejsze, przedstawicielei wykreślonego z życia idealizmu i matka Nidecka, wuj Erazm, Jadwinia nie z tego świata, która się zamyka w klasztorze, odchodzi od ludzi zbyt twarde i nie umiejących kochać. Ale na widowni jest karjerowicz Witold, retlający pieniądze, Irena, goniąca za użyciem i szczęściem osobistym, Roma Bagińska, sprzedająca się dla powdzenia na scenie i odbierająca bez skrupułów narzeczonego przyjaciółce, Bronek-szuler, Łacki, nie uznający obowiązków, łamiący życie jednej kobiecie po drugiej pod wrażeniem chwili, szukający szczęścia, nie wiedzący nic o prawdzie.

Oni wszyscy nie wiedzą o prawdzie i dla tego są bezpowrotnie wpleceni w koło krzywdy i upadku i przejdą przez życie jałowo i boleśnie, aż w pewnej chwili otworzy się wieczność i strach wyszczerzy potworne oblicze. Bo jest odpowiedzialność za marnowanie życia swego i cudzego. Bo zimny egoizm i interesowność albo płomienne pragnienie uciech, miłości ziemskiej, które człowieka w dół spycha i degraduje, nie da mu zbawienia. Nie da nawet zadowolenia i ciszy na tym świecie, w pewnej chwili stawiając przed oczyma groźne „memento”.

Życie dla szczęścia pojętego zmysłowo, dla strojów, pieniędzy, dogadzania namiętnościom nie jest systemem życia. Właściwie jest gubieniem życia. To wynika z powieści Miłaszewskiej. Bo wynika ze zdrowego osądu, jeżeli się patrzy na świat oczami, niezaprószonemi ziemskim pyłem.

Miłaszewska nie formułuje własnego poglądu. Ale wynika on sam. zarysowuje się jakże jaskrawo w doskonałe, ekonomicznie i celowo zbu-

dowanych rozdziałów. Autorka umie wywołać sentyment, nie wpadając w cikliwy sentymentalizm. Ciekawem jest, czy ta książka znajdzie się w rękach szkolnej młodzieży, by zastanowiła się w czas nad sobą, w rękach tej młodzieży, której gwałtem wypychają „Dzieje grzechu?”

A. Z.

Roczniki Akademickich Kół Misyjnych w Polsce, rok IV. R. 1931-32. Str. 324.

Kto pragnie się zszponać z działalnością Kół Akademickich w Polsce na polu misyjnym, powinien wziąć do ręki ten poważnie ujęty pokazny tom. Ostatnio wydany rocznik zawiera wiele ciekawego materiału co do historii unji w Polsce, oraz obecnego rozwoju działalności unijnej na naszych kresach. — Sprawozdania organizacyjne uzupełniają ciekawego rocznika.

cki.

A. AUFFRAY: Pedagogja świętego. Warszawa. Wyd. salezjańskie 1932. Przekład autor. A. Zahorskiej.

„Są dwa sposoby wychowania młodzieży — stwierdza bł. ks. Bosko. Jeden, bardzo znany, bardzo rozpowszechniony — oparty o system kar. Całkiem inny jest drugi system. Podstawą jego jest myśl, że trzeba unikać obrazy Boskiej za wszelką cenę. Po co karać wykroczenie, — mawiał ks. Bosko — obraza Boska już się stała! Cała sztuka, cała troska wychowawcy dąży do tego, by nie dać dziecku czynić źle. Trzeba utrzymywać je w nie-możliwości materialnej grzechu, otaczając je ciągle troskliwością, nie spuszczać zeń oka. Wychowawca, to ojciec, który nigdy nie zostawia dzieci samych, dopóki ich wolność nie jest ujęta w karby samokontroli”.

Ta metoda zapobiegawcza, przeciwstawiająca się metodzie represyjnej, stanowi istotę pedagogji bł. ks. Bosko.

Interesujące dziełko zyskuje wielce na wartości dzięki literackiej, pełnej subtelności formie tłumaczenia pióra p. A. Zahorskiej.

cki.

JÓZEF ST. CZARNECKI: Zmysły na licytacji. Cena zł. 2. 1932. Str. 104.

Pożyteczna ta broszura redaktora „Rodziny Polskiej”, porusza w sposób barwny, wyczerpujący aktualną sprawę rozwodów i obyczajowości powojennej. Zasługuje dla swych zalet na jak najszerze spopularyzowanie.

Z. Pawł.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Badź przeto wdzięczny za dar najmniejszy, a większego godnym się stಾನiesz.

Najmniejszy dar przyjm jako największy, i najpospolitszą łaskę za najosobliwszą uważaj.

Jeśli bowiem wejrzysz na godność Dawcy, żaden dar Jego nie wyda ci się ni lichym, ni małym. Czyż bowiem może być małym to, co nam Bóg Największy udziela?

Chociażby zesłał na nas cierpienia i chłostę i za to dzięki składać mu mamy; albowiem wszystko to, co na nas dopuszcza, czyni to dla zbawienia naszego.

Kto chce zachować łaskę Bożą, niech będzie wdzięczny, gdy Bóg ją daje, cierpliwy, gdy ją odbiera. Niech się modli, aby ją odzyskał; niech będzie pokorny i czujny, aby jej nie postradał.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

Z J A Z D N A R O D O W E J O R G A N I Z A C J I K O B I E T

Sala gmachu Stow. Techników, gościnnie otwierająca swe podwoje Narodowej Organizacji Kobiet, i w tym roku zapełniła się szczerze.

Mimo ciężkich warunków, delegatki ze wszystkich województw stawily się w komplecie, a sprawozdania ich, świadczyły o niezachwianej wytrwałości w pracy, której przyświecają szczerne idee.

Za stołem prezydjalnym pod sztandarem organizacji, biela się głowy zasłużonych, młodych duchem i wiarą pań: przewodniczącej Józefy Szebeko, M. Gerquin, posłanki na Sejm G. Balickiej i zasłużonej pracownicy społecznej p. Dr. Pawińskiej.

Walne zebranie otwiera przewodnicząca, która z powagą męża stanu, rozpatruje warunki naszej pracy. Stwierdza poważnie dotądnie i ujemne jej strony. Nie przeraża nikogo pesymizmem i rozpaczą. Przeciwnie. Wlewa w serca otuchę. Wierzy niezłomnie i miłuje — bez zastrzeżeń. W przemówieniu jej niema śladu żadnej nienawiści. Natomiast brzmi ciągle nuta błogosławiona, że byleśmy „chcieli — chcieć“ — to wszystko jest do zwalczenia, a nadewszystko do służenia Panu i krajowi w radości, mimo ciężkich warunków.

Zkolei p. Z. Jeńkiewiczowa odczytuje sprawozdanie Zarządu, które wykazuje, że zakres działalności nie zmniejszył się. Że mimo to, iż wszelkie pomoce z zewnątrz poniechane, wszystkie oddziały wykazują dodatnią działalność. Pogadanki i odczyty liczą się na tysiące. Biblioteki ruchome i kolportaż pism, bardzo ożywiony. 20 oddziałów prowadzi świetlice, 20 — przedszkola. Inne szkoły przygotowawcze, stacje opieki nad matką i dzieckiem. Akcję przeciwalkoholową prowadzi 40 oddziałów. Religijną i charytatywną — w łączności z „Caritasem“ — wszystkie oddziały, które także pomagały w zbiórkach na L. O. P. P. i Ligi Żeglugi.

We wszystkich oddziałach organizowano wiece protestacyjne przeciw projektowi ustawy małżeńskiej i ustawy szkolnej.

Referat p. Piastrzyńskiego na temat przelomu ideowego w całym świecie, zakończył pierwszą część Zjazdu.

Po przerwie obiadowej, posłanka Balicka mówiła „O psychice kobiety powojennej“, twierdząc, że zmienia się ona raczej w formie a nie w wewnętrznych postulatach duchowych. Że — kocha ta kobieta niezawodnie kraj, że miłością otacza dzieci, że szanuje religijne postulaty, że słowem nic nie ubyło jej z dorobków przeszłości, i że jedynie forma pewnej desinwoltury — wyróżnia ją, spowodowana — samodzielnością pracy i stanowiska, co zresztą jest poniekąd zrozumiałe.

— Tak myślę ja — mówi posłanka — ponieważ odnosi się to już do tej nowej kobiety dnia dzisiejszego, więc jej głos oddaję, niech nam sama mówi za siebie. I na mównicę weszła przewodnicząca „Koła młodych“ ze Lwowa p. Helena Paygertówna.

Lwowianki podczas przerwy wojennych, zdały egzamin ze swej duchowej teźnyzy.

Tą właśnie teźnyżną nacechowane było całe, logicznie zbudowane, stanowczo i śmiało wypowiedziane, przemówienie młodej przewodniczącej.

Ona także wierzy, także nie wąpi, także kocha. Ale już jej nie wystarcza to, co jest, „po życie sięga nowe“. Nie wąpi, że intelektualne nabytki są ważne i poważne. Na czele nowych kół, zrzeszeń, stawia zawsze tę kobietę, którą już wyższe kształcenie nauczyło logicznie tworzyć życie. A wyciągając z tego wnioski dla kobiet, rozpatruje jej stosunek do mężczyzny i twierdzi, z całą stanowczością, ale i słusnością, że jeśli ten stosunek wychodzi, poza naturalne ramy, pięknego i zgodnego sojuszu, to wina nasza. Nasza, bo my jesteśmy matkami, my wychowawczyniami, my więc źle wychowujemy synów, skoro ten naturalny sojusznik nas zawodzi.

Rodzina, dzieci, dom, nie tracą nic w zamierzeniach młodej dzisiejszej kobiety normalnej. Podstawa religij i moralności a cnót chrześcijańskich nie przestaje być pionem jej wewnętrznej budowy.

Słowem — młoda dzisiejsza kobieta zdobywa nas wszystkie. Sala oklaskami jej przerywa i po skończeniu dziękuje, wołając: niech żyją Lwowianki!

Przemówienia końcowe miały jeszcze zawsze gorąca sercem p. Demelówna ze Lwowa i ze Śląska p. Obrąpalska i p. Kaczmarkowa, dziękując Zarządowi i przewodniczącej p. Szebeko za organizację Zjazdu i ducha pogody a wiary w przyszłość, który ciągle nam towarzyszył.

Gorąco i serdecznie przemówił do zebranych ks. prałat Niemira, podkreślając, że przez Polskę idzie wiew odrodzenia duchowego, przeciwstawiającego się złu, a opartego na odrodzeniu religijnem.

Zjazd wysłał depeszę z wyrazami hołdu prymasowi Polski.

Z wniosków przytaczamy następujące: „Wobec chaosu życia politycznego, który w społeczeństwie musi budzić zrozumiały niepokój o losy narodu i państwa zarówno w życiu wewnętrznym, jak i na terenie międzynarodowym, — zjazd wzywa wszystkie członkinie do zapanowania nad depresją ogólną i wzmocnienia

wiary w zwycięską moc ducha narodu, opartą na najgłębszych jej cechach: umiłowaniu wolności, poszanowaniu prawa i czci dla cnoty.

Wobec zagrożonych przez obecny system szkolny i wychowawczy istotnych wartości ducha narodowego w młodym pokoleniu, — zjazd przypomina, że jedyną ostoją w tym względzie jest rodzina i dlatego wzywa rodziców do zwiększenia czujności w stosunku do metod wychowawczych w szkole i do najwyższych wysiłków, w celu zapewnienia rodzinie decydującego głosu w sprawie wychowania młodego pokolenia“.

Wieczornica uświetniona prześliznym wykonaniem Chopina p. Fintajzenowej, wysoce artystycznym śpiewem p. H. Gustowska i melodeklamacjami uczennic „Szkoły instruktorek społecznych“ Macierzy polskiej, zakończyły pięknie i pożytecznie spędzony dzień, który przyniósł wiele trudu, ale i wiele zasłużonej chwały Zarządowi Narodowej Organizacji Kobiet.

L. Kotarbińska

WYSYŁAJMY ZIEMIĘ POLSKĄ DO AMERYKI NA KOPIEC WILSONA

Piękna inicjatywa sypania kopca dla uczczenia pamięci Henryka Sienkiewicza, którą dało obywatelstwo ziemi łukowskiej, spaliła na panewce, bez winy inicjatorów.

Żal, choć pewni jesteśmy, że projekt, na razie zaniedbany, pogrzebany być nie może i powstanie z nową siłą na chwałę wielkiego mistrza słowa i wdzięcznego narodu.

A tymczasem organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych, sypią już w Blossburgu, w Pensylwanji „Kopiec Wilsona“, który będzie świadectwem wdzięcznych serc naszych dla wielkiego a sprawiedliwego męża stanu. Inicjatorzy z za oceanu wyczekują nadsyłania ziemi z polskich zagonów, z miejsc związanych historycznymi pamiątkami, wreszcie z każdego zakątka, w którym bije serce polskie i chce dać dowód pamięci dla niezapomnianego nigdy u nas imienia Wilsona. Na czele komitetu sypania kopca stoi ks. Jan Suchos, który tak pisze w liście, jaki powtarzamy za „Kurjerem Warszawskim“, piśmie, mającym zawsze niezawodne informacje.

List jest odpowiedzią na przyslaną ziemię:

„Za ziemię, nadesłaną na kopiec wielkiego Wilsona, w imieniu całego Stowarzyszenia i mojem, składamy najserdeczniejsze „Bóg zapłać“ i stokrotna podziękę

Najwięcej pragnęliśmy dostać ziemię z Prus i pani pierwsza odczuła nasze marzenia. Niechaj Bóg błogosła-

wi na ziemi i na niebie za te nieocenione skarby symbolu! Oby tej ziemi jak najwięcej tu nadsyłano dla obopólnego dobra!

Błagamy codziennie Boga, aby natchnął rodaków i rodaczki w Polsce, aby jak najwięcej ziemi tu nadsyłano, gdyż Ameryka śledzi, jaki jest w Polsce duch dla Wilsona.

Wszak kopiec ten ma za zadanie uwiecznić orędzie prezydenta, który rzekł: „Polska ma być wolna i z dostępem do morza“. Zatem cel jego: ratować dostęp do morza, a niestety z całej Europy zaledwie z 9 miejsc ziemię tu nadesłano. Czy to nie wstyd?

Błagamy o ratowanie honoru Polski i agitowanie, aby ziemi naszej nadsyłano więcej gdyż każda przesyłka cytowana jest w całej tutejszej prasie.

Z Gdyni i Gdańska, o które to miejscowości wielce się rozchodzi, jeszcze tu niema ziemi. Proszę o łaskawą propagandę“.

Dla informacji podajemy, że paczkę należy wysyłać w formie podwójnej, extra mocnej koperty. Przesyłka kosztuje około 3 zł. — jako list polecony. Adresować należy: U. S. America. — Wiel. ks. proboszcz Jan Suchos — Blossburg, Pensylwanja.

Nie wątpimy, że Sz. nasze Czytelniczki, spełnią obowiązek dobrych obywaterek kraju i nie poskąpią grudki ziemi polskiej dla Ameryki.

R.

BO JEJ TO ŁATWO!

Ta praca jest wykonana należycie, która nie wywołuje przykrego wrażenia nadmiernego wysiłku osoby pracującej. To jest pewnik, jakże nieraz wadliwie bywa komentowany.

Trud ludzki podzielić można na dwojaki — nie według pokonywania przez nich właściwego sporu, lecz według wewnętrznego ustosunkowania się do samego pojęcia pracy. Są jedni, którzy pracę uważają za dopust Boży, za karę zesłaną na ludzkość przez grzech Adama. Są inni, którzy w pracy widzą jedyny wykładnik życia, najwłaściwsze uzasadnienie ludzkiej egzystencji, i bodaj nawet — prawdziwą radość życia!

I to dziwne, że praca jest jakby istotą czującą, która na stosunek do niej wrogi lub przyjazny odmiennie reaguje. Życzliwym wywdzięcza się dobrimi rezultatami zawistnym idzie opornie.

Gdy patrzymy na życie ludzkie z pewnej perspektywy, to ono nam się przedstawia zawsze z lepszej strony, niż jest w rzeczywistości.

— Jacy to szczęśliwi ludzie, ci Antosiowie — mówi ich zażyła przyjaciółka do kogoś znajomego — dobrze im się powodzi, oboje zarabiają, mają dwoje ślicznych dzieciaków, ona zawsze ślicznie ubrana. A on ją kocha! No i nic dziwnego, jego o żone głowa nie

zaboli, ona nie jest mu nigdy ciężarem. Nie to, co ja. Zawsze o wszystko prosz, nukaj — pana męża. Ale jej to łatwo, bo ona i wykształcenie z domu miała i buzia gładka i do rzeczy się umie brać, to i stosunki sobie wyrobiła. Ho! ho! a w tym syndykacie jak ją sobie poważają. Takiej kobiecie, to żyć nie umierać. Wszystko jej idzie jak z płatka. Już takie szczęście. Nie to — co ja. — Bo i cóż ja. Odkąd wyszłam zamaż, w tych czterech ścianach siedzę, od świata odcięta. Dzieciškami mnie osaczył, wychowuj to, haruj w domu, a potem zato masz w nagrodę, że cię porównają z Antosiową i powiedzą, żeś nic nie warta. Ale chciałabym ją tak na mojem miejscu widzieć — ciekawam, jakby też wyglądała!

A przysłuchajmy się, co w tym samym czasie szepcą usta pani Antosiowej. Już północ dobiega, a ona znużona całodzienną pracą, a potem krzątaniem koło domu, zasypia wprost nad cerowaniem skarpetek mężowskich i synowskich. Jutro o w pół do siódmej wstać trzeba, a odłożyć reperacji nie można, bo jakże w dziurach pójdą jeden do szkoły, a drugi do pracy. Już zdaje się koniec, a tu jeszcze mała dziurka. Nie zaszyć, zrobi się olbrzymia. A w głosie pani Antosiowej, aż huczy od naporu myśli. Kłębią się projekty, obowiązki na bliższą i dalszą metę. Wakacje blisko, trzeba się zakrzętać koło zaliczki na pensję. Garderobę oporządzić, letnisko zadatkować, wyjechać przecież muszą dla dzie-

ci. A tu mężowi obcięto pensję i dodatkowych zajęć niema, nie to, co pan Józef, któremu szczęśliwie dochody się nie uszczupliły.

— Mój Boże! jak to łatwo żyć tej Józiowej! O nic się nie zatroszczy. Mąż o wszystkim myśli, na wszystko da pieniądze, a i niejedno sam załatwi, bo mówi, że jego żona, to piąte dziecko w rodzinie, z którym zresztą najwięcej jest kłopotu. Jak kaprysi, lub co gorsza, gdy niezdrowa, to trzeba kupić jej co ładnego lub wziąć ją do cukierni, a zaraz humor się naprawia.

Pani Antosiowej może trochę i żal, że mąż się do niej nigdy z takim kłiwem pobłażaniem nie odnosił. Ale zaraz przypomina sobie jego ufne, wpatrzone w nią oczy ilekroć życie niesie z sobą troski i kłopoty, które wziąć trzeba na swe barki. Oni biorą je razem i pani Antosiowej zaczyna być dobrze w tem głębokiem przeświadczeniu, że jest towarzyszką swego męża, a nie kulą u jego nogi.

A gdy wreszcie udaje się na zasłużony spoczynek, nie jest jej ciężko myśleć o trudach dnia następnego. I nie zazdrości pani Józiowej, że jej jest łatwo!

Jakżeby jednak pani Antosiowa była zdumiona, gdyby mogła przeniknąć myśli pani Józiowej. I gdyby mogła odkryć w nich zazdrość własnej doli, w której z odległości dopatrzono tylko imponujące wyniki, a pominięto trud jaki włożyć musiały w ich zdobycie.

Marja Ankiewiczowa.

ECHA — Z UBIEGŁYCH DNI

Karol Hubert Rostworowski, za najlepszy utwór, napisany w ostatnim trzechleciu, otrzymał nagrodę państwową literacką. Tytuł dramatu: „Niespodzianka”. Znakomitemu pisarzowi, którego dzieła cechuje zawsze służba dla najszczytniejszych ideałów, jury, złożone z 7 osób, pięcioma głosami oddało zasłużoną cześć.

W podziemiach wielkiego magazynu B-ci Jabłkowskich, solidnej firmy dobrze nam znanej, powstał salon artystyczny, mieszczący w obecnej chwili sto kilkadziesiąt obrazów świetnych artystów. Miłą chwilę rozrywki i pokarmu dla pięknych zamiłowań zapewnia zwiedzenie wystawy.

Towarzystwo popierania przemysłu ludowego zorganizowało piękną wystawę ubiorów: huculskich, łowickich, śląskich, poleskich, krakowskich, nowogródzkich i t. d. Ceramikę, rzeźbę, ozdoby Stryjeńskiego w Zakopanem. Tkaniny, zabawki i t. d. — wszystko godne widzenia i kupienia.

10.000 studentów i studentek wysłuchało w tym roku rekoлекcyj, prowadzonych przez znakomitego mówcę ks. rektora Edwarda Szwejnicę, spowiadali się i przystępowali do Stołu Pańskiego. Jest to niesłychanie doniosły fakt, bo stwierdza potrzebę wzniesienia myśli wżwyż i skrzepienia duszy czemś silniejszym nad codzienność, wśród tej warstwy społeczeństwa, która należy do jutra kraju.

Związek harcerski odbył swój 12-ty zjazd w Warszawie. Między innymi uchwałami, komisja kół przyjaciół harcerstwa postanowiła: „zwrócić się do społeczeństwa z wezwaniem wzięcia żywego udziału w akcji opiekuńczej, bowiem przeszło 1.000 druzyn nie posiada obecnie opieki społecznej”. Zwracamy na to wezwanie uwagę naszych Sz. Czytelniczek, wśród których niejedna ma syna harcerza i jesteśmy pewni, że wezwanie to znajdzie dużo go-

towych do tej zaszczytnej służby kobiet. Harcerstwo — to siła. To budzenie uczuć humanitarnych, przy wyrobieniu tężyzny fizycznej, to urabianie silnych charakterów, których nam tak bardzo potrzeba.

W Londynie odbędzie się w maju międzynarodowy kongres miast, w którym oczywiście wezmą udział i nasi przedstawiciele. Lord-burmistrz ze stolicy Szkocji, Edynburga — przysłał zaproszenie dla naszych delegatów do zwiedzenia miasta. Kongres londyński, ma ze wszęch miar doniosłe dla nas znaczenie, bo staraniem związku miast polskich został wprowadzony do obrad kongresu język polski, jako jeden z języków oficjalnych obrad.

Akademja papieska urządzona przez szkoły powszechne stolicy, odbyła się w teatrze Wielkim. Tysiąc dzieci zapełniły widownię. Chóry, deklamacje, wykonane pojedynczemi i zbiorowemi siłami dzieci — sprawiały miłe, często wzruszające wrażenie. Przedstawienie zaszczycił swą obecnością J. E. ks. Nuncjusz Marmaggi i J. E. ks. biskup Szlagowski, których w swej łoży przyjmował prezydent miasta Z. Słomiński.

Instytut gospodarstwa domowego wydał tablice pomocnicze do nauki gosp. dom. do użytku pań domu, a w szczególności Kół gospodyń wiejskich, żeńskich Kół samokształcenia oraz kursów gospodarczych. Tablice te opracowała p. Marja Karczeńska — przewodnicząca rady naczelnej gosp. wykształcenia kobiet. Tematy tablic obejmują: 1) Co każda gospodyni wiedzieć powinna o odżywianiu człowieka; 2) o doborze pokarmu dla człowieka; 3) o wpływie gotowania, smażenia i pieczenia na pokarm; 4) o wyzyskaniu ciepła przy przyrządzaniu potraw.

Pierwszy kobiecy oddział Ligi Morskiej i Kolonjalnej, został zorganizowany. — Przewodnicząca: L. Kotarbińska, wice-przewodnicząca: Zofja Makowska, Bronisława Wy-

rostkowa. Pomoc kobieca w sprawach dotyczących panowania Polski nad Bałtykiem, była dotąd nie wyzyskana należycie. Miljony kobiet winny składać swe usługi, choćby zapisywaniem się na członków Ligi. Jeden złoty miesięcznie, pomnożony przez liczne szeregi kobiet, przyczyni się do szybszego zaspokojenia potrzeb, związanych z naszą siłą na morzu. Adres Ligi Morskiej i Kolonjalnej: „Sekcja Kobięca”, Warszawa, Nowy Świat Nr. 35, telefon 315-88.

„Sekcja kobiet” organizuje się przy Lidze Morskiej i Kolonjalnej. Nie wątpimy, że obejmie ona, tyle milionów członkiń, ile jest dobrych córek Ojczyzny. Zakładanie nowych kół, obrona brzegu morza naszego, zbieranie funduszu na nowe statki oraz na fundusz kolonjalny, wprowadzenie w każdej organizacji kobiecej „Sekcji kobiecej”, opieką otaczającej sprawę morza jest dziś palącą sprawą narodową. Pamiętać winnyśmy wszystkie, że nie może nas zabraknąć w tej akcji, która jest i ważną i drogą, jak nasze istnienie.

POKAZ GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Z coraz większym rozmachem i coraz wydajniejszymi rezultatami pracuje jedyna w Polsce organizacja, poświęcona zagadnieniom gospodarstwa domowego — Związek Pań Domu. Centrala w Warszawie zogniskowała w sobie sieci wzajemnego porozumienia łączące nieomal wszystkie ośrodki kulturalne na ziemiach polskich.

Jest więc rzeczą naturalną, że nadszedł czas, kiedy Związek Pań Domu uznał za stosowne wykazać się swym realnym dorobkiem, osiągnięciem w ciągu ostatnich kilku lat pracy. Dzięki ostatniej zdobyczy, jaką było uzyskanie własnego lokalu (przy ulicy Nowy Świat 9) Zarząd Główny postanowił w drugiej połowie maja r. b. zorganizować pierwszą racjonalną wystawę, która będzie nosiła nazwę „Pokazu Gospodarstwa Domowego”.

Charakter wystawy będzie ściśle wewnętrzny i dydaktyczny. P. Marja Chmieleska, kierowniczka Sekcji Urządzeń, zorganizuje szereg wnętrz gospodarskich z uwzględnieniem potrzeb wsi i miasta. Będą tam różne typy kuchni, sprzęty i narzędzia, urządzenia higieniczne, łazienki i apteczki, wreszcie zastosowanie elektryczności, gazu oraz spirytusu w gospodarstwie domowym.

W określone dnię będą się odbywały pokazy sprzątania, prania i prasowania, z przeciwstawieniem sposobów

wadliwych wykonywania tych czynności — sposobem racjonalnym.

Rzeczowo potraktowany będzie dział kulinarny, dział ubrań właściwych, przy czynnościach domowych.

Bibliografję oraz całokształt działalności Związku i jego oddziałów obejmą panie: Marja Karczewska i Iza Mandukowa. Udział w Pokazie Gospodarstwa Domowego wezmą również placówki zespolone ze Związkiem Pań Domu ideologją pracy, jak: Instytut Gospodarstwa Domowego, Rada Naczelna Gospodarczego Wykształcenia Kobięć, Redakcja „Pani Domu” — miesięcznika, który jest oficjalnym organem Związku Pań Domu.

Komitet organizacyjny wystawy dokłada usilnych starań, aby Pokaz Gospodarstwa Domowego możliwie najgruntowniej wyczerpywał całokształt zagadnień gospodarskich. Czynione będą w tym celu próby urządzeń fragmentów wnętrz, pokoiów dzieciennych i t. p. Poczesne miejsce zajmą pokazy robót dziennych, estetyki domowej, nakryć stołu, przychem wygłaszane będą pogadanki na odnośne tematy.

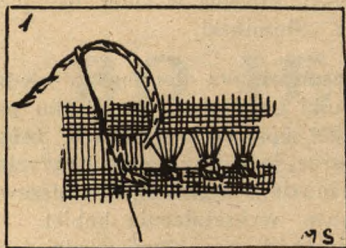
Należy poważnie rachować się z tem, że ta pierwsza racjonalna wystawa gospodarska wzbudzi szerokie zainteresowanie, które wyrazi się wielką ilością zwiedzających.

Marja Ankiewiczowa.

MEREŻKA W PŁÓTNIE

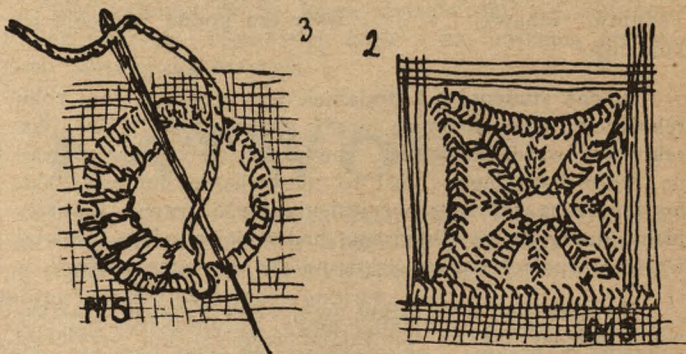
Słowo „merezka” oznacza robótkę przeźroczystą, wykonaną w płótnie.

Tkanina płócienna zrobiona jest z przędzy przymocowanej przez długość nici zwaną „wątkiem”, oraz przesnuwanej na poprzek nitką zwaną „osnową”. Jeżeli z gotowej tkaniny wyciągniemy poprzeczne, lub podłużne nici, zostaje wówczas pas wolnej przędzy, który przymocowujemy wzdłuż brzegów obcą nitką.



gu. Po wykończeniu obu brzegów zasnuwamy całą szerokość sposobem przeplatany, tak jak się robi koszycki.

Można takie zasnuwanie wykonać odmiennym kolorem, lub w kilku barwach.



Zależnie od szerokości wysnówki robimy deseń merezkowy, zawsze jednak najpierw przymocowujemy brzegi.

W grubych tkaninach nabieramy na igłę zwykle dwie do trzech nitek, okręcamy nitką nawleczoną w igłę i następnym ścięciem przymocowujemy do brze-

Bardzo delikatnie wygląda merezka w pajęczki, zwane również „ślimaczkami”. Nabieramy wówczas na igłę np. pięć nitek, zawiązujemy w samym środku obcą nitką, którą oplatamy następnie wokoło węzła i powstaje coś w rodzaju koszycka. Po skończeniu go, umac-

niamy silnie, by się nie rozsunęło i nabieramy znów na igłę dalszych pięć nitki.

Jeżeli robimy mereżkę wokoło serwetki lub obrusa, musimy umocnić wyciągnięty w rogu pustą kwadrat. Umieszczamy w nim albo podobny do opisanego pajaczek albo przesnuwane dwa krzyżyki od rogów i z przekątni, tworząc w ten sposób ośmioramienną gwiazdę.

Wśród ludu w Polsce, od Bałtyku i Litwy, aż do Śląska i Karpat używane bywają mereżki do zdobienia ręczników, prześcieradeł na łóżka i tapczany, do wykończenia w dole koszul męskich, wreszcie do złączenia rękawa z koszulą. Ażeby jednak umocnić obwód rękawa, wrabiają w mereżkę silny lniany sznurek.

Mereżka wykonana bywa czarną lub czerwoną nitką w ten sposób jak dzierga się brzeg chustki.

Na pograniczu Czechosłowacji, na Spiszu i Orawie, wysuwają kobiety szerokie, na trzy centymetry, mereżki i wypełniają je następnie w deseń żółtą barwą w kilku odcieniach. W ten sposób przybierane są rękawy u koszul kobiecych.

Można również wyszywać wzory bieżące ścięciem mereżkowym w ten sposób, że na linii wzoru kładziemy jeden ścieg wstecz za igłą, następny zaś chwytą brzeg i wchodzi od przodu w płótno.

Mereżki są zawsze bardzo pięknym urozmaicheniem stroju kobiecego, wykończeniem i przybraniem bielizny stołowej i drobiazgów dekoracyjnych.

Marja Stefkowa.

ORYGINALNE WYSZYCIA W WOLI MIECHOWEJ

Wśród prześlicznej górzystej okolicy Starego Łupkowa, na pograniczu Czechosłowacji, leży oryginalna wieś, Wola Miechowa. Miejscowość ta zaliczona do typu gmin wiejskich, jest zupełnie odrębna w założeniu, gdyż obok typowych chat wiejskich, posiada rynek, zgrupowany wokoło Leśniczówki. Ulica, przechodząca w dwie strony zwie się Kościelna i zamieszkała jest przez urzędników gminnych, stoi przy niej czterokla-

żone są na ulicy mocno zniszczone sienniki, lub worki ze słomą, na których wylegają się całymi dniami gromady, wiecznie próżnujących Cyganów.

Według opowiadania miejscowej ludności, plemię to złożone z kilku rodzin gnieździ się tam od lat 300 zgóra.

Na wyżywienie całego plemienia, które wymiera i odradza się, pracują przeważnie kobiety. One szorują i czyszczą żydowskie domy, noszą za parę groszy wodę z rzeki lub studzien, wreszcie chodzą na dworzec do każdego pociągu z pakunkami podróżnych. Niektóre z nich odznaczają się klasyczną urodą Hiszpanek. Mają ich temperament, zwinność ruchów i zachowały typowy strój hiszpański. Fałdzista spodnica z szeroką falbaną wije się falisto wokół zwinnej postaci, kolorowe bolero, wyszyte błyszczącymi blaszkami, starą monetą, niekiedy dzwonkami lub amuletami. Haftują swe koszule barwnym jedwabiem najczęściej w tak zwaną „cygańską drogę“, przypominającą grecki „meander“ lub opoczyńską „łamaninę“. Wśród tego motywu rozrzucają oryginalne kwiatki, złożone przeważnie z wąskich płatków, wyszytych ścięciem plecionym do środka, trzy listki żółte, trzy czerwone, inne niebieskie. Tło wypełniają drobne jednobarwne kółeczka dziergane.

Pomysł tego haftu jest egzotyczny, lecz całość cechuje niedokładność, jakiś cygański nieporządek.

Haft, który widzimy na fotografii, ozdobił przód koszuli młodej Cyganki Yewki Dmitrijochny, pracującej jako stały posłaniec ze wsi do stacji w Woli Miechowej.

Czy można haft ten nazwać ludowym?

Takie pytanie zadadzą mi pewnie czytelniczki „Rodziny Polskiej“. Mojem zdaniem osada cygańska w Woli Miechowej i jej współzycie wśród miejscowego ludu, jest takim egzotykiem, który zaaklimatyzował się na naszej ziemi, gdyż zawsze w tem plemieniu jest ktoś, mężczyzna czy kobieta, wiążący się węzłem małżeńskim z tubylcą, dzieci wychowują razem z innymi, przyjmują zwyczaje, wyznanie, a jednak jeszcze w czwartym i dalszym pokoleniu występują wybitne cechy Cyganów.

Jeżeli Cyganka wyjdzie zamaż za wieśniaka, stosuje się do jego zwyczajów i wówczas wyszywa dla nie-



Wyszycie na koszuli Cyganki z Woli Miechowej
fot. Marja Stefkowa.

sowa szkoła, mały kościółek, oraz kilka wiejskich sklepików.

Z drugiej zaś strony, w przedłużeniu rynku jest kilka czarnych, brudnych domków, nigdy nie bielonych ani oczyszczanych. Przed nimi w dni pogodne rozło-

go koszulę i kamizelkę, łącząc wspomnienie swoich rodzinnych haftów z wyszyciem miejscowem i powstaje z tego wzór nowy, nieraz bardzo oryginalny.

Gorzej bywa, gdy wiejska dziewczyna w tych samych okolicach wyjdzie zamąż za Cygana.

Wówczas zatracą swą indywidualność i stają się zerem, wytraconem z pomiędzy rdzennej ludności wiejskiej, a nie należącym do gromady cygańskiej. I to jest tragedia łączenia się dwóch niedobrych ras.

Marja Stefkowa.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Zofji Miecz... z Opatowa. Szanowna, droga Pani! Odczuwamy Pani stan psychiczny, ale rozpacz nie jest nigdy ani dobrym doradcą, ani towarzyszem. Więc trzeba ją ujmować twardą ręką, bo inaczej zabije energię do walki z życiem, której nam tak bardzo dziś potrzeba.

Japończyk, ten dzielnego szczerpu człowiek, pisze takie dla otuchy przykazanie:

„Kiedy idziesz w bój — to śmiało
I z wiarą w zwycięstwo.
Niech się lęk nie wrzyna w ciało
Kiedy idziesz w bój — to śmiało.
Gdy zagrzmiało, zahuczało
Bądź cały jak męstwo.
Kiedy idziesz w bój — to śmiało
I z wiarą w zwycięstwo”.

My, przecież jesteśmy w boju. Jakiś wulkan huczy, coś w świecie grozi, na coś się zbiera, czego nazwać nie potrafimy — ale co wyczuwamy, to też należy wszystkie nerwy trzymać na wodzy, zęby zacisnąć, znieść to, co niebo zsyła mężnie i wierzyć, że żadna forma życia nie trwa długo, że co postanawia człowiek, prędzej się odmienia, aniżeli sam to przypuszcza i że tylko Boskie nakazy są wieczne, a wiara zaleca nam zawsze mężny opór w ciężkich chwilach życia i trzymanie się prosto, choć zawierucha gnie do ziemi.

PIĘKNA UROCZYSTOŚĆ

Olbrzymia, śliczna sala odczytowa w domu, bodajże najzasobniejszego stowarzyszenia Sług Katolickich, przepelniona członkiniami, których naogół, są dziesiątki tysięcy, a tym razem tyle, ile ich mogły zmieścić ściany gościnne. Na małej scenie szereg chorągwi — to delegacje zaproszonych stowarzyszeń. Stół i fotele czekające na dostojnych gości. Mównica, zieleń, kwiaty.

Cóż to za uroczystość?

Oto zasłużeni pracownicy zwołani przed oblicze J. Em. Ks. Kardynała Al. Kakowskiego oraz Nuncjusza Apostolskiego J. E. Ks. Arcybiskupa Marmaggi'ego, aby z ich rąk otrzymać ordery papieskie, słusznie im należne za wytrwałą chrześcijańsko-społeczną pracę.

Ordery: „Bene merenti” dostają pp. robotnicy Kowalewski i Kowalik. Krzyże: „Pro Ecclesia et Pontifice” otrzymują pp.: Jackowski, Sliwiński, Buraczyński i p. Helena Zaborowska, niestrudzona pomocnica od pierwszych chwil założenia pożytecznej instytucji.

P. Marji Sokoł... w Warszawie. Prenumeratę „Rodziny Polskiej” i dwutygodnika Z (zet) załatwiliśmy. Dziękujemy za zaufanie.

P. Leon... Dworc... w Częstochowie. Właśnie możemy z całą sumiennością wskazać Sz. Pani, jako źródło wszech — najlepszych wskazań w tym zakresie: „Macierz Polska”, która swe biuro centralne ma w Warszawie na Krak. Przedmieściu 7 m. 4. Zdaje nam się, że książka p. t. „Poradnia dla samouków polskiej Macierzy Szkolnej, działy ogólny i nauczycielski”, starannie opracowana przez doskonałą znawczynię przedmiotu, p. Mirę Małachowską, spełni wszystkie Pani w tej mierze żądania. „Koło Macierzy” ma Sz. Pani niezawodnie na miejscu i wtedy będzie Pani mogła rozejrzeć się we wszystkich pożytecznych wydawnictwach Macierzy, tej czujnej i świetnie prowadzonej naszej instytucji pod wodzą dyrektora Józefa Stemlera.

P. Wandzie Niepok... w Ciechanowie. Wszystkie nasze wydawnictwa: „Posiew”, „Królowa Apostołów” i „Mały Apostoł”, to ukochane przez dziatwę naszą piśmko, są zawsze najregularniej wysyłane — i jeżeli które nie dochodzi rąk Sz. Pani — to proszę upominać się na pocztę, która zresztą u nas funkcjonuje doskonale, tak, że żadne reklamacje nie dochodzą nas w tym kierunku. Za dobre słowa dla naszych wydawnictw szczerze dziękujemy, polecając się i nadal względem Sz. Pani.

To też ks. patron Gąsiorowski, kreśląc zasługi wszystkich pracowników — oddał należne słowa najwyższego uznania dla wytrwałej, nigdy nie znużonej, zawsze energicznej, pracownicy, jaką jest p. Helena Zaborowska.

Krzyż, który ją ozdobił — nie jest od parady. Zdobł ją piersi dzielnej obywatelki, prawej córki Kościoła i Ojczyzny i „sługi — sług”, które zarzuciły swoją przewodniczącą kwiatami i wyrazami szczerzej podziękującej jej nad niemi pieczę.

Piękne przemówienia Dostojników Kościoła, muzyka orkiestry, życzenia i powinszowania przyjaciół, towarzyszyły tej podniosłej chwili, jaką przeżywali wszyscy, którzy swą pracą przyczynili się do rozwoju instytucji, na której czele widnieją nazwiska ks. patrona Gąsiorowskiego i przewodniczącej związku p. Heleny Zaborowskiej.

L. K.

AFORYZMY.

„Świat powojenny i Polska”.

Jest u nas dużo kobiet, celujących w sportach. Mam dla nich głęboki podziw.

Jest jeszcze więcej takich, którym obowiązki rodzinne czy domowe, nie pozwalają na uprawianie sportów. Dla tych mam głęboki szacunek. Natomiast wcale, ale to

wcale nie cieszy mnie owa „zabawa w sport” tak u nas rozpowszechniona.

lim.

Zawód wybrany bez zamiłowania, może stać się klęską dla człowieka. Dlatego należy rozważnie zorientować się w swych zdolnościach i warunkach danej pracy.

Wanda Grabińska.

KĄCIK DLA DZIECI

ZŁOTE KURCZĄTKO.

Ciężki był przednówek dla ludzi. A szczególnie dawało się to odczuwać w małej podgórskiej ubogiej wioszczynie. Najgorsza zaś bieda panowała w chacie rodziców Franka i Ludwinki. Ciężka choroba powaliła ich ojca i zimą całą przeleżał. By go ratować sprzedali krowę żywicielkę, i owieczek parę, co wełne bieluszką dawały i kaczek-kwaczek kilka, jeno im na całe gospodarstwo jedna kokoszka została. Z nadejściem wiosny pozdrowiał ojciec, ale słaby był jeszcze bardzo, odżywiać go było trzeba, ale czym? Skoro nic w chacie prócz zmarzniętych kartofli i trochy placków owsianych nie było! Słońeczko przygrzewało coraz bardziej, zieleniło się wszystko wokoło. Pewnego dnia wetknęła im matka po kawałku placka owsianego i wyprawiła ich na łąkę, by nabierały lebiody. — Chwast ci to obrzydły niby — powiedziała — ale w głodne lata barszczyk z niego nie najgorszy, nabierajcie jeno dość, to z kartoflami uwarzę, choć coś gorącego zjecie. — Wzięły się dzieci za ręce i pobiegły. Po miedzach, po przydrożkach zwykle dość lebiody rosło, ale teraz pochowała się, czy co? — Pewno i inni też zbierają — domyślił się Franuś. Ale powoli, powoli uzbierali jakoś pełny koszyczek. Usiedli w słonku przy drodze i dzielić się plackiem owsianym poczęli. Wtem: — „Niech będzie pochwalony”... usłyszą — spojrzą, a tu babulka-starulka idzie, kosturkiem się podpira, różaniec w palcach przebiera, zdarte łachmany trzęsą się na niej, podeszła bliżej i pyta: dzieci kochane nie macie choć kawałeczka chleba, trzy dni jeno wodą żyje, już i sił nie mam, a daleka droga przedemną, do świętego miejsca do Ludzimierza idę!... Spojrzy Ludwinka na Franusia, Franuś na Ludwinke — jeść się chce, ale matusia uwarzy kartofli — a ta babulka trzy dni nic nie jadła. Tak Ludwinka, jako że śmielsza była powiada: — Chleba tośmy babusiu, już sami dawno nie widzieli, ale placka mamy kawałek, weźcie pokrzepcie się. — A Franuś nic nie mówi, jeno babce swą część w rękę kładzie. Siadła babka i jeść poczęła, jadła i jadła, a gdy skończyła, to aż dzieci się zdziwiły, jak się wyprostowała i ożywiła. „Dziękuję wam dzieci, niech Bóg wam zapłaci”. A Ludwinka na to: — Oj! Babulku, jak do Ludzimierza dojdziecie, to tam przed cudowną Panią, o zdrowie tatusia naszego poproście... i dopiero opowiada babce o całej ich biedzie. —

Pomodłę się pomodłę... To tylko wam jedna kurka została? — mówi babka. Skinęły dzieci główkami. — No to macie jajko, podłóżcie pod tę kurkę — powiada babka, jajko z sakwy wyjęła, w rękę Ludwince wetknęła, Pana Boga pochwaliła, szparkim krokiem się puściła, gdy się dzieci obejrzały, to już babki nie ujrzały. Popatrzyły dzieci na siebie, przewidziało im się, czy co? ale Ludwinka w raczce jajko trzyma, bieluskie a blask z niego srebrzysty idzie. Popędzili co tchu do domu, matce lebiody oddali, jajko pokazują i copredzej kurce, która właśnie kurczątko wysiadywała podkładają. Na drugi dzień zjrzęła Ludwinka co z jajeczkiem słycać? Wzięła jajko w rękę, aż tu słyszy w środku słabiatkie „stuk, stuk” potem jeszcze mocniej, jeszcze mocniej... położyła przestraszona jajeczko na ziemi, woła Franusia, patrzają oboje, a tu skorupka pękła i wyskakuje ze środka kurczątko, ale jakie. Całe żółte! Klasnęły w ręce, a kurczątko się obejrzało, zapisało i przed siebie biegnie, przestraszeni gonia za nim, ale kurczątko tak prędko biegnie, że go dopędzić trudno. Jeszcze im jakoś w oczy tak słonko zaświeciło, że oślepieni tym blaskiem, na chwilę przystanęli, przecierając oczy — kurczątko nigdzie nie widać. Zatrapieni ku chacie zawracają, w tem coś im pod stopami zabłyśzczy — patrzą: dukat złoty! równiutko na całej drodze do domu po dwa dukaty obok siebie leżą, gdzie kurczątko nóżkę postawiło, ślad jego w dukata się zmienił. A że drobnym kroczeniem biegło, toć tych dukatów Ludwinka pełny fartuszek, a Franuś kapelusza do chaty przyniesli. Było za co i tatusia leczyć, i krówki i dobytek wszelaki matusi kupić i z biedniejszymi się podzielić.

H. Rostafińska-Choynowska.

Romusiovi i Niuniowi Bełkom z Cieszyna, oraz ich mamusi, za miły liścik dziękuję i obiecuję, że już przerw w bajeczkach nie będzie.

Uczennicom II kl.A. szkoły powszechnej w Stanisławowie oraz Broni Lignarównie za życzenia świąteczne serdecznie dziękuję, w sprawie przedstawienia osobno Wam odpiszę. Cześć!

WIECZÓR MAJOWY.

*Wieczór majowy — wonią kwiatów
Powietrze wokół przesycone
I płynie prośba do zaświatów:
„Pod Twoją weź Ty nas obronę...”*

*Biały posążek umajony
Roztwiera ręce miłościwie
I płyną łaski na wsze strony,
Gdzie jeno ludzkie serce żywie.*

*W srebro go stroi blask miesiąca,
U dołu w czerwień go oplata
Maleńka lampka, migocząca
Ku czci Maryi — Pani świata.*

*A w koło klęczy korna rzesza,
Serca i usta rozmodlone...
I z wonią, blaskiem pieśń się miesza:
„Pod Twoją weź Ty nas obronę”.*

H. R. Ch.

KRAŚNALKI.

*Oj! sprzykrzyła się krasnalcom
Ona długa zima,
Więc gdy słońeczko przygrzało
Nic już ich nie wstrzyma.*

*Wyskakują z mysich norek
Na łąki i pola,
Gdzie ich różna praca czeka —
Jak którego wola.*

*Jedne lekko rozwijają
Wonne kwietne pąki,
Inne uczą tańczyć muszki,
Komary i bąki.*

*To znów wejdzie skrzacik mały
Pomiędzy ptaszęta,
Nuci a z nim ptasza rzesza
Śpiewa jak najęta.*

*Lecz najchętniej taki skrzacik
Przy pastuszkach siada,
Na fujardę stare piosnki
Jak grać podpowiada.*

H. R. Ch.

W ROCZNICĘ RAĆLAWICKĄ.

*Dzwoni, dzwoni dzwon Zygmunta
Na wawelskiej wieży,
Gdzie w podziemiach nasz Kościuszkę
Z królmi Polski — leży.*

*Przypomina: jak przysięgał
Na rynku w Krakowie
On, Naczelnik — bromić Polski! —
W ważkiem, silnem słowie.*

*Hej! wspomina jakim ogniem
Płonęły mu lice,
Jak wiódł on swych kosymierów
W bój — pod Raclawice.*

*Dzieci wolnej, wielkiej Polski
Niech każde pamięta:
Że nad wszystko wolność — droga
I ojczyzna święta.*

H. R. Ch.

Rozrywki Umysłowe

pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradziśtów.

DALSZY CIĄG II. KONKURSU KWARTALNEGO.

4. SZARADA.

(5 punktów).

Oto dla narodu „nowość” znów wyrasta,
Która wśród ludności czyni wstrząs niezdrowy...
Jak wybuchów siedm-sześć-trzynasta-dwunasta
W swej ośm-trzeciej wszystkich ogłuszyła głowy.

Bo czyż jest w tem jaka dziewiąta-dwunasta,
Drugie reformować odwieczny sakrament?
Raz-dругie kościelne — każda rzeknie kasta —
Są dla nas świętością! Poco czynić zamęt?...

Sześć jedna jest strona małżeństwa medalu...
Lecz także na drugiej mamy co innego:

Aby brać raz-dругie, bez skrupułów, żalu,
Nie trzeba już gnać do... cztery-trzynastego!

Boć przecie z „postępem” iść trzeba — i basta!

Podniesiona musi być raz-jedenasta,
Drugie dać mu ujście, by wsiąkł do wsi, miasta...

Bo to... „trzy-czwarta-i-jedenasta-dwunasta”!

Więc czy pepesowcy, czy wspan-pięć-siedm-trzeci,

Albo czy wojskowy, lub też trzeci-czwarty —

Jeśli mu dogadza raz-b taki, — poleci

Do urzędu małżeństw, z skrupułów odarty.

Bowiem dla „młodego pana”, lub amanta

Zbyteczne już światła, śpiew, kwiaty, dywany...

W czternastej-dziesiątej on interesanta

Stanie tam... bez fraz... podenerwowany...

Lecz czy dziewięć-siądme będą „panny młode”

Z tego, że ich kolor niewinności, szaty,

Welonu, wianeczka, utracą swą modę,

A miejsca nie znajdują nawet białe kwiaty?...

Nie baczysz pan młody i jego niewiasta

Na pomysł siedm-ósme-trzynastego złego,

Że to jedenasta-dziewięć-jedenasta

Tu przyszła od Wschodu, niszczy co drogiego!

Więc nie naruszajmy obrządku świętego!

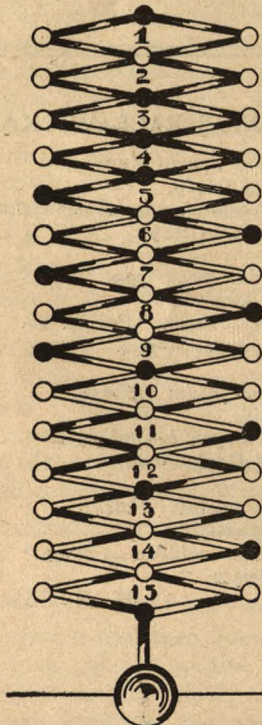
Pocóż nam trzy-czwarte i piąte małżeństwa?...

Czyż dla czternastego oraz piętnastego

Takiego, Bóg zesze Swe błogosławieństwa? —
L. Ciesielski, czł. K1 Sz.

5. ZADANIE WIROWE.

(4 punkty).



W każdym kółeczku wpisać literę, aby powstało 15 wyrazów czteroliterowych wedle podanego znaczenia. Początek wyrazów w kółeczkach czarnych, kierunek wirowania do odgadnięcia. Środkowy rząd pionowy da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Półwysep w Rosji. — 2. Czarna dzika kaczka. — 3. Niechlujstwo. — 4. Nieobuta. — 5. Chwila (pora). — 6. Część uprząży. — 7. Praca na roli. — 8. Miasto w Egipcie. — 9. Rzeka w Niemczech. — 10. Dawka. — 11. Bat. — 12. Rak (choroba). — 13. Przetak. — 14. Naczelnik gminy. — 15. Nieprzyjaciół.

K. Denasiewicz, czł. K1 Sz.

WYNIK III KONKURSU KWARTALNEGO 1931.

W numerze kwietniowym podaliśmy rozwiązania III konkursu kwartalnego 1931, obecnie zaś podajemy listę uczestników wraz z ilością zdobytych punktów, oraz listę nagrodzonych.

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosi: 49.

Rozwiązania nadesłali pp.: „Alila”, Warszawa (49), Bińkowski Bohdan, Lublin (12), Bilik Jerzy, Warszawa (19), Borek Klementyna, Pruszków (7), Budziszówna Hanka, Warszawa (15), Czepiel Stanisław, Lublin (21), Denasiewicz Kazim., Drohobycz (49), Dziubik Klem., Wola m. (27), „Es-Es”, Warszawa (10), Fuhрманówna Klara, Krotoszyn (23), Fabrowa Marja (19), Gałek Jan, Białystok (27), Górski Z., Warszawa (15), „Hala”, Warszawa (21), Ikaniewicz Bolesław, Wołkowyśk (4), Jastrzębska Zofja, Warszawa (27), Kabar Sz., Wilno (32), Kaczyńska Fila, Stebnik (16), Klimczak Roman, Warszawa (49), Klimczakowa Janina, Warszawa (40), Kozłowski Czesław, Warszawa (40), Kozłowski N. Kazim., Warszawa (49), Kwaśnicki Rob., Warszawa (19), Kwiekowa Jadwiga, Dobrzelin (49), Leban Maryla, Warszawa (11), Liwska Marja, Warszawa (27), Łopatko Jerzy, Warszawa (31), Małkisz B., Zawadów (19), Mokrzycka Helena, Drohobycz (49), Mielnikówna B., Warszawa (14), Opielińska Helena, Środa (25), Pankiewicz Tomasz, Białystok (17), Poroch E., Sielce (21), Rawska Bog., Warszawa (9), „Ryśka”, Drohobycz (49), Sławnicki Teofil, Białystok (49), Socha Grzegorz, Będzin (49), Socha Leopold, Będzin (49), Soszyńska Eugenja, Konin (16), Staszak Franciszek, Będzin (33), Staszakówna Basia, Będzin (49), Surma Jerzy, Białystok (49), Szczepański Szczepan, Warszawa (44), Turek G., Warszawa (18), Waksmundzka Marja, Jasło (49), Zalewska Marja, Warszawa (48), „Maryśka z Pohulanki” (49).

Wynik losowania nagród okazał się następujący:

Nagrody turniejowe (książki): p. Kozłowski N. Kazim. (za rozwiązanie rysunkowe), p. Kwiekowa Jadwiga, Dobrzelin, p. Klimczakowa Janina, Warszawa.

Nagrody miesięczne (książki): p. Mokrzycka Helena, Drohobycz, p. Jastrzębska Zofja, Warszawa, p. Drowa Opielińska Helena, Środa.

Nagrodę pocieszenia: p. Fuhрманówna Klara, Krotoszyn (książka).

Nagrodę autorską: p. Denasiewicz Kazim., Drohobycz (kwart. prenum.).

SKRZYNIKA POCZTOWA.

Wszystkim Przyjaciołom naszego działu rozrywkowego, którzy nadesłali życzenia świąteczne, składamy na tem miejscu „Bóg zapłać”!

WPP. Waściszakowska Hanna, Puławy i Mieczkowski Antoni, Wilno. Z radością witamy nowych zwolenników i miłośników naszego „Kącika Rozrywkowego”, i wyrażamy nadzieje, że piękne rozwiązania wierszowane, jakich próbkę z podziękowaniem otrzymaliśmy, do naszej teckich, odąd stale napływać będą. Sładzimy, że także układanie zadań własnego pomysłu nie przedstawiałoby trudności, — radzimy przeto i tu sił swoich spróbować.

M. Śl.

ZE ŚWIATA RADJA

Radio odnajduje zaginionych.

Mała Janeczka zaopiekowali się po stracie ojca dobrzy ludzie z kolonii Olgin (poczta Sienkiewiczówka). Ojciec jej por. St. w momencie rozstroju nerwowego odebrał sobie życie. Matka już przed kilku laty zmuszona była opuścić męża i poszukać sobie pracy. Ojciec jednak nie dał sobie dziecka odebrać i stosunki między rodzicami uległy zupełnemu zerwaniu. Pani St. otrzymała posadę w Truskawcu i o śmierci męża nie wiedziała, ponieważ ludzie, którzy się zajęli losem ośmioletniej Janeczki nie znali adresu jej matki, a s. p. por. St. przed śmiercią spalił wszystkie listy i dokumenty, które mogłyby na jakiś ślad naprowadzić. Pozostawił jednak pewien majątek, który siłą rzeczy przypadł dziecku, ale trzeba przeprowadzić formalne postępowanie spadkowe, aby dziecko mogło być sadownie uznane właścicielem majątku. Nikt jednak nie umiał wskazać, gdzie Janeczka była ochrzczona, aby można było wydobyc jej metrykę urodzenia. Dziecko mówiło, że urodziło się w Lublinie, więc tam poczęto szukać jego metryki po wszystkich kościołach parafjalnych, ale bez rezultatu.

Tymczasowy opiekun Janeczki pan P. wpadł wobec tego na pomysł, aby zwrócić się o pomoc do Polskiego Radja, no i radiokronikarz w swojej „Skrzynce pocztowej” z dnia 18 marca r. b. ogłosił rzecz całą, odwołując się do tych, coby mogli dać jakies wskazówki o miejscu urodzenia i chrztu Janeczki, aby byli łaskawi dać wiadomość panu P. pod określonym adresem. Ogłoszenie to przyniosło efekt nadspodziewany.

Komendant posterunku P. P. w Truskawcu-Zdroju, słuchając „Skrzynki pocztowej”, natychmiast zawiadomił o tem, co usłyszał, panią St. a ta zaraz się skomunikowała listownie z panem P. w Olginie. Bezpośrednio po wysłuchaniu ogłoszenia pani M. L. w Lublinie listownie zgłosiła swoją gotowość do wyszukania metryki. „Jestem z Lublina — pisze — i jeżeli zajdzie potrzeba, to po kościołach będę szukała”. Sa dobrzy i uczynni ludzie w Polsce. Prócz tego pani Z. L. z Łomży, która znała osobiście państwo St. lecz o ich rozejściu się i o śmierci s. p. por. St. wcale nie wiedziała, napisała do p. P. iż chce i może zająć się wychowaniem ich dziecka. Wszystko to jednak uwiecznione zostało pismem, które p. P. otrzymał z M. S. Wojsk., gdzie znajdują się dokumenty wojskowe s. p. por. St. i skąd natychmiast wysłano oryginał metryki Janeczki. Metryka chrztu pochodzi z urzędu parafjalnego w Chełmnie.

Tym sposobem w radosnym dniu Zmartwychwstania dzięki oddźwiękom, jakie w sercach ludzkich znajdują fale radja, Janeczka odnalazła matkę, a może i nadzieje na lepsze jutro. Pan P., donosząc o tem wszystkim radiokronikarzowi, załączył dziecinna rączką napisany list Janeczki, który brzmi jak następuje:

„Kochany panie doktorze! Ja jeszcze dobrze pisać nie umiem, bo jestem w drugim oddziale, ale że kochany pan doktor taki dobry, to ja pisze i bardzo, bardzo dziękuję panu doktorowi, że o mnie przez radio mówił i moja mamusia już pisała i metryka się znalazła i mamusia niedługo przyjedzie, a inne panie też pisały i chciałyby mi pomóc. Proszę kochanego pana podziękować wszystkim, a ja później jeszcze napiszę i będę słuchała przez radio, całuję pana doktora i życzę dużo szczęścia i dużo lat życia
Janeczka”.

Wzruszający ten list niechaj będzie nagrodą tym z radiosłuchaczy, którzy pilnie wysłuchują „Skrzynki pocztowej” i serdecznie się przejmują tem wszystkim, co płynie ku nim na falach eteru. Jest to już zresztą nie pierwszy przykład, jak skuteczna jest rubryka zaginionych, co tydzień laszana przez radio.

M. St.

Słońce wśród ociemniałych.

Nad rolą radja w życiu człowieka przeszliśmy już do porządku dziennego. Zdaje się, że już wszystko zostało powiedziane i że temat został wyczerpany do dna. Ale radio samo, jako żywy, nie milkący przejaw naszego życia, domaga się stałe, aby pamiętać o niem i przypomina nam o swej nietustannej żywotności.

Kroczy śladem człowieka, odbijając w pryzmacie mikrofonowym kolorowe klisze naszych zainteresowań.

Przybliży świat człowiekowi, a człowieka światu, ale to jeszcze nie wszystko i nie to, może jest najważniejsze. Radio zbliża ludzi między sobą. Nie są to bynajmniej jakies mistyczne mgliste urojenia poetyckie czy tematy literackie. Życie tutaj przemawia swym zdecydowanym ważkim głosem.

Tu chcę wspomnieć parę słów o akcji ks. Rekasa audycji nadawanych dla chorych. W związku z temi audycjami nadany został w dniu 12 marca poranek szkolny z zakładu dla ociemniałych we Lwowie, który nazwano „Słońce wśród ociemniałych”.

Krótkie sprawozdanie z korespondencji jaka się między radiosłuchaczami i chorymi nawiązała po tym

koncercie, zilustruje chyba najlepiej rolę radja, jako łącznika między społeczeństwem, a tymi, którzy siłą nieszczęśliwych wypadków zostali od życia odsunięci. Sami chorzy na tej drodze znaleźli przedewszystkiem i dla siebie nic wzajemnego porozumienia, wzajemnego wypowiedzenia się o swych smutkach i nikłych radościach jednostajnego życia. Audycje te dają pozatem możność pozornego chociażby brania udziału w życiu społeczeństwa.

Listów nadeszło ogółem 34, z tego nawet 2 z Czechosłowacji bardzo serdeczne, jeden zaś, to pismo ociemniałej Eli Mondschein z Pilzna, list systemem brailowskim pisany. Z całej Polski nadeszło także wiele listów, pisanych z akcentami głębokiej serdeczności. Oto kilka wyjątków: Między innymi pisze kompozytor Piotr Maszyński:

„Ponieważ mała Zosia — „jedna z wykonawczyń” — o to prosi, — jakże nie zadowolili jej życzenia, jakże nie podziękować za deklamację, wygłoszoną miłym głosem i z takim zrozumieniem. O tak — Zosiu — nam radiosłuchaczom, którzy chwytaliśmy chciwie wasze słowa i produkcje muzyczne, audycja dziś nadawana utkwiała w pamięci na długo. Dziękujemy wam wszystkim i serdecznie pozdrowienia przesyłamy”.

Żołnierze z wartowni na Zamku w Warszawie między innymi piszą: „Dziś mieliśmy przyjemność słuchać audycji radiowej z zakładu dla ociemniałych, w czasie której między innymi usłyszeliśmy ładnie, nawet bardzo ładnie wypowiedziany wierszyk Kopnickiej p. t. „Świat taki piękny”. Choć wprowadziła mała Zosia ofiarowała go swoim rówieśnikom, my jednakże nie możemy się powstrzymać od tego, żeby jej nie przestać podziękowanie zań, słuchaliśmy go bowiem w czasie służby u Pana Prezydenta w Warszawie”.

Redakcja „Muchy” w Warszawie pisze: „Dzisiaj w sekretarjacie naszej redakcji wysłuchaliśmy transmisji z zakładu dla ociemniałych. Z przemówienia uczennicy VI kl. dowiedzieliśmy się wielu rzeczy dla nas nieznanych, w całej zaś audycji czuć było dobroć wychowawców i wychowawczyń i tę zdumiewającą pogodę życia, istot ciężko od losu upośledzonych”.

I wiele, wiele jeszcze innych: „Bóg zapłać”, „Dziękujemy serdecznie”, „Życzymy wszystkiego najlepszego” — spotyka się w listach.

Oto serdeczny plan, jaki radio zbiera na swych rozlicznych drogach posłannictwa ułatwiania i rozjaśniania ludziom życia.

KWIATY ŚW. ZOFJI.

Jabłoń zakwita, jak symbol wiosny,
Znak odrodzenia i życia. —
Taka powabna, pyszna, radosna;
Woni obfita krynica.

Łączy z białością znikłego śniegu
Rumieńce bliskiego lata. —
Za rok, jak długi w swoim obiegu,
Znow się uśmiechnie do świata!

DETERMINACJA.

Słów „Mane, Tekel, Fares”

Jeśli posłyszysz ton,
Odpowiedz: to jest frazes
Ja mam mój detefon.

Nie martwię się pytaniem
Czy świat wciąż będzie trwał
Byleby zawsze na nim
Detefon zechciał grać.

M. A.

MELODJA WIOSENNA.

Powiew wietrzyka skronie muskał,
Słoneczny promień patrzył w oczy,
W przelocie motyl trzącił usta,
Las aromaty swe roztoczył.

A pocałunek był kojący —
Jak balsam drzew, stodycz motyla,
Gorąco słońca, wiatr rzeźwiący,
I — zapomnienia długa chwila...

JAKĄ KSIĄŻKĘ DZISIAJ ZAMÓWIĘ?

POWIEŚCI KATOLICKIE:

SPILLMAN JÓZEF KS.

Tajemnica spowiedzi

Powieść Zi. 3.—

Są książki, które nigdy nie tracą na aktualności, które — można powiedzieć — nigdy się nie starzeją. Do takich książek należy powieść Tajemnica spowiedzi, która doczekała się w polskim języku obecnie już czwartego nowego wydania.

SKOLASTER H. KS.

W pętach guślarzy

Powieść Zi. 2.45

Autor — długoletni misjonarz w Afryce — opowiada nam barwnie i zajmująco o całej grozie pogańskiego zabobonu i guślarstwa. Epizody pełne dramatycznego napięcia przykuwają silnie uwagę czytelnika.

WANDA GROCHOWSKA.

Syn rozbójnika

Piękna polska powieść obyczajowa, tak pogodna i dobra, że z ciekawością czytają ją starzy i młodzi. Zi. 2.—

CZESKA-MACZYŃSKA MARJA

Rycerz Chrystusowy

Powieść historyczna z czasów świętego Wojciecha. Znakomita autorka „Powieści Chrystusowych” opisuje w tej nowej powieści tragiczne dzieje grzesznicy. Zi. 4.25

HIEROMIN ZALESKI

Na rozdrożu

Powieść Zi. 3.50

KSIĄŻKI RELIGIJNE:

LENARTOWICZ J.

Sto rad i upomnień

Złota książeczka — istna skarbnica do- brych rad życiowych dla kobiet i panien. Zi. 1.—

HIRSCHHAUEROWA

Modlitwa Pańska

Autorka skreśliła tu prosty lecz treści- wy wykład Modlitwy Pańskiej i Pozdrowie- nia Anielskiego. Zi. —.90

CHAUTARD O.,

Życie wewnętrzne a duch apostołstwa

„Działalność katolicka, jeżeli ma mieć prawo do tej nazwy i ma przynieść praw- dziwe korzyści społeczeństwu i Kościołowi, nie może być tylko zewnętrzną, ale musi być głęboką, musi docierać do dusz i wy- chodzić od ludzi, którzy sami z sobą i Pa- nem Bogiem są w porządku”. (Książę Arcybiskup Sapieha).

Dzieło to jest dla polskiej literatury ascetycznej prawdziwie cennym nabytkiem. Zi. 4.—

M. S. P. KS.

W ręce Ojca

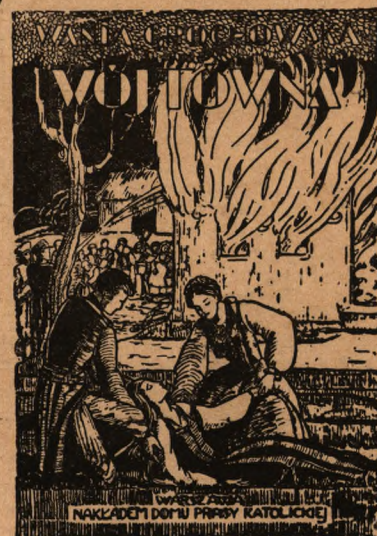
40 opisów ostatnich chwil życia i mo- mentów śmierci ludzi znanych i nieznanych. Jak ніć czerwona przewijają się głębokie myśli apologetyczne przez stronicę tej pię- nej książki. Zi. 3.50



Cena Zi. 2 —



Cena Zi. 3.—



.3aCenzi .—

ZAMAWIAĆ:

Wydawnictwo Księży Pallotynów
WARSZAWA, KRAKÓWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71